

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 2), półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie ztr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową ztr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową ztr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego:” w Po-
znaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,50.

Wiec rodziców.



W niedzielę o godzinie 10-ej z rana zwo-
łany został do sali Muzeum Przemysłu i Rol-
nictwa, z inicjatywy ks. Czesława Światopółk-
Mirskiego i p. Stanisława Lewickiego wiec
rodziców uczącej się młodzieży.

Wiec odbył się przy bardzo tłumnym udzia-
le wszystkich warstw społeczeństwa. Zgro-
madziło się około tysiąca kilkuset osób.

Przewodniczył p. Stanisław Lewicki. Wiec
odbył się przy udziale kuratora okręgu nau-
kowego r. t. Szwarcza i trwał do godziny 2¹/₂
po południu.



Podejrzenie.



„Gdy szczęście zniknie — wchodzi podejrzenie.”

Shakespeare.

Szpetna i szkodliwa mara.

Wesele spłoszy, zgodę skaleczy, ufność wy-
trąci, niepokój za sobą ciągnie, czegoś wiecz-
nie szuka, podpatruje, nadśluchoje, spocząć
nie da, sama nie spoczywając.

To — podejrzenie.

Gdyby ją przyszło pędzłem malować, nale-
żałoby dać jej, jak śmierci, kosę w rękę, bo
tak ścina ona wszędzie kwiat życia i wpro-
wadza za sobą zniszczenie. Niechże podejrze-
nie wcisnie się raz przez próg domu — już
tam szczęścia nigdy nie będzie. Raz zbliżone
do uszu żony — podejrzenie szpetne, podkopuje
wiarę w męża, budzi tysiące domysłów, dora-
dza szpiegowanie i podpatrywanie ścieżek, sło-
wem tnie szczęścia lodygę i truje życie na
zawsze.

Niechże znów ono wśliznie się do męża nie-
spodziewanie, czyż nie sprowadza częstokroć
straszných cierpień?..

Ale gdybyż tylko tyle!

Podejrzenie czasem wciska się między matkę
a dziecko, zasiewa nieufność, wypala piekiel-
nym ogniem miłość i wdzięczność, truje ser-
ca, zabija życie i jeszcze nieraz pamięć sobą
omota. Tak samo psuje ono przyjaźń, są-
siedzkie stosunki, między służbą a chlebo-
dawcami straszne czyni spustoszenie, prze-
szkadza nieraz pracom najpocziwszym, pla-
nom najlepszym. Jest to wstrętny gad, któ-
ry, niestety, hodowany jest dość troskliwie
i co gorsza, wciska się coraz śmieiej teraz
we wszystkie związki, prawa i stosunki.

Niejeden raz, nie wiedzą ludziska zkad
i co przyniosło im w życiu niepokój, swary,
zatargi, gniewy, narzekania. Szamocą się,
chcą się wyzbyć tych smutków życia, a nie
rozważą, iż początek tego wszystkiego leży
w podejrzeniu.

Wystarczy czasem jedno słówko, małe, nie-
znaczące, ażeby za niem wśliznął się gad zja-
dliwy i podejrzeniem zamącił przyszłość na
długo.

Czasem nawet ani jednego małego słówka
nie było, tylko pozór czegoś, coś niby przy-
puszczenie, a już drzwi się otwały i podej-
rzenie wpakowało się z całą swobodą. Ileż
łez wycisnie, ile sił życiu zabierze, ile da no-
cy niespanych i ran niezagojonych, ten wie,
kto z podejrzeniem przeżył kawał życia.

Jakże potem żałuje się szczerze zmarnowa-
nego szczęścia, gdy się wreszcie prawda od-
słoni i jak na dłoni pokaże się, iż wszystko
było tylko podejrzenie!... Dla tego należy być
bardzo ostrożną i podejrzenia oddalać stanow-
czo, jako zarazki najcięższych chorób.

Z otwartą przyłbicą iść zawsze i wszędzie;
wszelkie sprawy i warunki poznawać dokład-
nie, lepiej sto razy przekonywać się, jak raz

podejrzeniem zgrzeszyć. Nie podejrzewać dziec-
ka, iż kłamało, lub leniwe było, iż umyślnie
to lub owo zrobiło, bo takie podejrzenie cza-
sem może charakter dziecka zupełnie spacyć,
i ku złemu nagiąć.

Nie podejrzewać służącej, iż chciała doku-
czyć, źle zrobić, bo nieraz takie przypuszcze-
nie najlepszą służącą zrazi i zepsuje.

Nie podejrzewać przyjaciół o interesowność
i fałszywą obłudę, o chęć dokuczenia lub wy-
śmiania, bo to poniża wartość życia i istotnie
tylko złe charaktery dadzą się tak podejrzli-
wości pod władzę.

Gdy się tak zacznie wszędzie, zawsze
u wszystkich w życiu szukać, podejrzewać ich
o liche zamiary, o jakieś brudne czyny, to
się tak życie całe osmoli, oplączę, iż zdaje
się, nie już nigdzie ani dobrego, ani jasnego,
tylko samo zło i brud dookoła.

Częstokroć tak bywa, iż ludzi cokolwiek
szorstkich w obejściu ranimy posądzaniem
o zło i i nieuczciwe cele. Tymczasem ci lub
owi z braku inteligencji, obywatela, otarcia
się, to lub owo uczynili, nie mając zupełnie
zamiaru dokuczyć lub smucić.

Taka podejrzliwość niezmiernie często prze-
szkadza w pracach nad ludem, służbą, oto-
czeniem dalszem i t. d. Bo jeśli tam jakaś
Kasia lub Marysia powiedziała coś nie
dość dobrze, zaraz posądza się ją, że ona
lekceważy trud nasz i pracę, że ona jest nie-
wdzięczną lub zarozumiałą i urywa się roz-
poczętą pracę.

Przyznajmy szczerze, ile razy byliśmy
świadkami podobnych zdarzeń.

Umysły silne, światłe, w zgodzie będące
z wiedzą, miłością ku ludziom, nie dadzą się
podejrzeniom usidlać, lecz, niestety, bohater-
skie to są prawie charaktery; takie niezmiernie
rzadko się spotyka.

Codziennosc zaś, obleka wszystko ponurą
płachtą wad i win rozlicznych, a między te-

mi, jako największa plama widnieje „podej-
rzenie.“

Ileć ono nam coś szeptać pocznie, —
wspomnijmy, iż początkiem nieszczęść bywa
i odtrącajmy je jak najrychlej...

Dużo słońca życiu przybędzie, gdy podej-
rzenie zniknie na zawsze.

Jadwiga z Z. Strokowa.



Marya Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Orzeźwiała dopiero w pałacu. Pokój dzie-
cinny był obszerny i jasny, kołyska pańskiej
córeczki obita atłasem. Mamka, wybrana przez
doktora, zdrowa, młoda wieśniaczka, karmiła
dziecko tłuste i różowe, nianka układała w ko-
lysce batystowe posłanie, w sąsiednim pokoju
dwóch starszych paniczów bawiło się pod
opieką bony.

Czuć było dostatek, zdrowie, siłę, wygodę,
bezpieczeństwo tej dziatwy, pewność, że bę-
dą porządni i cnotliwi, że nie zazną moral-
nej i materyalnej nędzy.

Jankowska była dumną ze swych pupilów
i zaczęła zaraz opowiadać niance, jak wyglą-
da znajda.

A Gedras długo stał nad kołyską i rozmy-
ślał. Wreszcie wyjął z kuferka rubla, popa-
trzał posepnie na dwa pozostałe w woreczku,
stęknął, otulił dziecko w poduszkę i kożuch
i poszedł z niem do domku ogrodnika.

Gospodarza nie zastał, był w cieplarni pa-
łacowej. Nieśmiało, wahająco stróż poprosił
ogrodnikową o nakarmienie dziecka, położył
odrazu rubla na stole.

— Ot, głupstwo, co macie za to płacić, kie-
dy ona pewnie już ssać nie zechce. Zamo-
rzyliście butelką. No, dajcie — popróbuję.

Gedras usiadł na ławie i patrzył z niepo-
kojem. Odetchnął, gdy dziecko ssać zaczęło,
i po chwili rzekł nieśmiało:

— Żeby wasza łaska pokarmić je, choć raz
na dzień, jabym zapłacił, ile mogę — połowę
pensyi.

— A ileż to?

— Dwa ruble miesięcznie.

— Nie dużo! Ale spytam męża, pomysle!

— I poproszę was o zastępstwo przy bra-
mie do wieczora. Mam na mieście interes.

— To już za to przyniesiecie parę śledzi
i piwa na kolację. Strasznie zmizerowane
dziecko. Cień został. Moje miesiąc starsze,
a ot, co za basałyk. No, to idźcie, trza po
sąsiedzku wygodzić!

Gedras po małej chwili kopał się w śnie-
życy ku miastu. Niósł księdzu za chrzest
dwa ruble, a bojąc się, że może więcej zażą-
dać, wstąpił do Lejzorowej i zastawił za ru-
bla zegarek, jedyny wartościowy przedmiot,
który posiadał. Wtedy już spokojny wszedł
do plebanii. Ksiądz czytał przy biurku i po-
znał go odrazu.

— A co? Napędziła cię Jankowska. Zapo-
mniałeś o mnie. No, jakże, dziecko ci się
chowa?

— Już pewnie nie długo będzie. Nie zapo-
mniałem ja, że w długu zostałem u księdza
dobrodziej, tylko nie mogłem zebrać grosza.
Przyniosłem dzisiaj.

— A z kądże wiesz, że ja pieniędzy od cie-
bie dochodzę. Mnie się coś więcej od ciebie
należy. Jak myślisz?

— Ja nie wiem, co ksiądz każe? — rzekł
zmieszany Gedras.

— Nie wiesz? To źle! To ci powiem. Nale-
ży mi się twoja dusza. Rozumiesz? Chciałeś po-
grzebu, chrztu, a jakże myślisz? Nie trzeba
ci to kąpieli, czystej szaty? co? A mnie, czy
tylko umarłych grzebać, niemowlę do kościo-
ła wprowadzić? Mnie trzeba żywych mieć
i myślących. Trzeba i pocieszyć, i zburzeć,
i poradzić, i rozsądzić. No i trzeba mi was
wszystkich znać — a tyś mi obcy. Nie stra-
chaj się — nie zmuszam cię. Wiem, że ci coś
dolega na sumieniu, ciężki to ładunek, a mo-
żeby ci ulżył, ale jeśli ci dzisiaj nie do ga-
dania, to odłożymy nadal. Tylko byś wiedział,
że do mnie z tem śmiało przyjdź, jak ci bar-
dzo dokuczy.

Gedras milczał, mnąc w rękę woreczek
z pieniędzmi.

— Tyś nie tutejszy? Pewnie z Kowieńskie
gubernii? — spytał ksiądz.

— Tak jest. My z pod Rosieni.

— A ja z pod Kiejdan, to i prawie swo-
jaki. A z jakiej wsi? Może znam?

— Ja ze szlachty. Dworek ojciec miał, Ży-
wiele. Było nas siedmiu braci, nie było na
czem się utrzymać, rozeszli się po świecie.
Mnie ojciec oddał do Kowna, do krewnego
co warsztat kowalski miał. Było mi wtedy
piętnaście lat, szkółkę skończyłem, już od tej
pory nie byłem w domu — i nie wiem, co tam
się dzieje.

— I tam, w Kownie, okaleczałeś?

— Ej nie. To niedawno, cztery lata temu,
w fabryce w Białymstoku. W Kownie tom
krótko był, może dwa lata, bo wuj zbankru-
tował i do Ameryki wyjechał. Namawiał
i mnie — nie pojechałem, głupi. Człowiekowi
się wydaje, że to on sobie dolę przedzie, a to
on sam jest nitką, a niedoła go mota, jak sa-

PRZY KOMINKU.

(Pogawędka).



Zdaleka, z bardzo daleka dochodzą do nas
bezustannie grzmoty armatnie, w tę dal, nie-
zmierzoną prawie płyną myśli i serca nasze,
czekamy wieści z tamtąd od tych, których
nad życie kochamy, męczy nas oddalenie,
męczy nas czas, którego o jeden włos lichy
skrócić nie możemy. Każda bitwa, rozegra-
na tam na Wschodzie, jest zmorą trapiącą;
co dzieje się z mężem, synem, kochankiem,
bratem, przyjacielem, bo kule miłosierdzia nie
znają, nie u płotu wije się tam śmierć, lecz
z odkrytą staje przyłbicą i setki, i tysiące,
i krocie jednym potężnym zamachem kosy
swojej zabiera. Najmilszym w tych czasach
gościem jest gość z torbą listów; posłyszysz
kroki jego na schodach mieszkania swojego
i wybiegasz naprzeciw z zapartym oddechem
w piersiach. Z trwożnym biciem serca wy-
ciągasz po listy ręce, przebiegasz szybko adre-
sy, szukasz znajomej ręki... Jest! to od nie-
go!... Zdrów, żyje!... i masz chwilę ukojenia,
zapominając, że list ten przed miesiącem był

pisany, że tych dni trzydzieści, trzydzieści
w sobie śmierci zawiera. Lecz zrazu nie
o tem nie wiesz; — ten list ciebie cieszy, za-
smuca brak jego, niepokoi milczenie istoty
drogiej. Znam te wszystkie uczucia, te wła-
snej duszy szalbiertwa; ach! ileż siły woli
potrzeba, by uśmiechniętą móżd spojrzeć twa-
rzą, by nikt z żywych nie dojrzał, co się
w twej duszy dzieje, jakie tam snują się ni-
ci czarne, jak się różne uczucia klóca. I czeka
się wiosny i patrzy się w strop niebios, gwia-
zdami usiany; na usta wybiega modlitwa za-
pomniana, dawna wiara, jedyna tylko ta wia-
ra, dająca moc duszy. A teraz...

A teraz widzicie z tych słów wstępnych,
jak trudno jest do zwyczajnej zasiąść z wa-
mi pogawędki. Och, nie brakłoby do niej
przedmiotu, bo czyżby was, daleko od War-
szawy mieszkających, nie zajęłyby opisy ulicz-
nych ruchów warszawskich, ta groza dni
kilku, w ciągu których miasto nasze miało
oblicze jakiegoś grodu zbombardowanego?

Więc zaczynam od... karnawału.

Ba! kiedy o nim nie powiedzieć nie można;
czasy są takie, że nikt o zabawach myśleć
nie chce; że, zasłyszana po za ścianami do-
mów muzyka taneczna, wydałaby się dźwię-
kiem jakimś fałszywym, zgrzytem, wstrząsa-

jącym nerwami wszystkimi, jakimś głupim
wyskokiem Arlekina, czems tak nie przysto-
sowaniem do chwili obecnej, że roztańczony
dom wzięlibyśmy za dom waryatów. Niema,
zda się, mózgu jednego, któryby pomyślał na-
wet, żeć to przecie zapusty mamy; narzekają
magazyny z przedmiotami kobiecimi, płaczą
szwaczki, rozpaczają panienki, że mało tań-
czą w obecnym karnawale, ale narzekanie
wszelkie, płacz i zgrzytanie zębów w danej
chwili nie mogą nas wzruszyć, rozkazać po-
śliznąć się po woskowanej posadzce balowej,
bo to zerwanie z uciechami karnawałowemi
ani narzucone, ani postanowione nie było,
przyszło samo przez się, siłą okoliczności stwo-
rzone i dlatego tak silne i tak nieugięte jest.
Żal mi najwięcej biednych robotnic, tych
szwaczek, mających może najwięcej prawa do
strajków, by móżd najlepsze warunki pracy
uzyskać, a nie mogących w bezrobocie się za-
bawić, które zresztą jest prawie stanem ich
normalnym; mam trochę współczucia dla pa-
nów kupców *konfekcyi* damskich, a choć już
z obowiązku kronikarza pisma niewieściego,
powinienbym nie tańczące, a „zropaczone
panienki“ pocieszyć, w materyi onej świetnie
mnie wyręczył mój kolega po piórze, Kazi-
mierz Bartoszewicz w „Gazecie Polskiej,“ któ-

ma chce! Wuj podobno w Ameryce własną fabrykę już ma, a ja ot!

Poruszył ramionami i umilkł.

— Jakże to się stało? — spytał z współczuciem ksiądz.

— Ta ręka, ksiądz dobrodziej myśli? Ot, wypadek, smarowałem maszynę, rękaw był wystrzępiony, chwyciło koło, raz obróciło, wyrwałem pogruchofaną w kawałki. Obcieli w szpitalu.

— Zapłaciła ci fabryka?

— Nie, chcieli adwokaty dochodzić, namawiali na sprawę, mówili, że najmniej dwa tysiące dostanę. Nie chciałem. Co mi z tych dwóch tysięcy, ręki mi nie wróca, a po prawdzie, co fabrykant winien, że mój rękaw podarty był, maszyna winna. Przekleństwo na wszystkie te potwory żelazne. Żeby mi moc i władza, ichbym ja rozbijał, ach, jakby druzgotał w sztuki, jakby łamał! Więcej na nich krwi, jak na katowskich toporach!

— A właściciel fabryki nie ci dobrowolnie nie dał?

— Możeby i dał. Gdym ze szpitala wyszedł, poszedłem do fabryki i trafiłem na pogrzeb. Młoda żona mu z suchot umarła. Powstydzilem się mu w oczy leżeć, zabrałem papiery i poszedłem w świat.

— Powiedz mi, Gedras, kto cię nauczył takich myśli. Niema złości w tobie, po chrześcijańsku czynisz, z wolą Bożą się zgadzasz, a przecie kalectwo ciężkie ci?

— Pewnie. Ale bym miał rąk dwoje, nie byłoby mi lepiej. Wszystko jedno, wiek się i tak dokołace! Ot, dziecko już dochodzi — znowu sam zostanę.

— Nie masz nikogo swojego?

— Nie. Choćbym i w swoje strony wrócił, to po co? Rodzice pomarli, bracia po świecie, swoi zapomnieli. Może który z braci w Żywkielach siedzi, toby krzywo przyjął, my-

śląc, że części chce! Niech zdrowo żyją, dzieci hodują. Ja już cudzy i sam!

— I nie ożeniłeś się?

— Miałem żonę.

— Umarła? — ze współczuciem spytał ksiądz.

— Umarła. Zabiłem ją!

Człowiek powiedział to tym samym apatycznym tonem, jakim mówił dotychczas.

— Biedaku! — rzekł ksiądz, po chwili milczenia.

Gedras przycisnął łokcie do żeber i odwrócił się do okna. Słychać było, jak ciężko odychał.

— Zawiniła ci zapewne. Nieprzytomny byłeś? Zdradziła cię?

— To prawda, że zawiniła, ale jej krew na duszy noszę. Nie ona ode mnie, ale ja od niej odpuszczenia nie dostanę. Muszę przeklętym być, bom jej ciało i duszę zagubił.

— Kto ci rzekł, żeś przeklęty, Bóg miłosierny!

— Powiadają tak i cieszą, alem ja tylko kary czułem i smaganie, snąc to tylko dla mnie zapisane!

— Jakżeś ją zabił? Jak się to stało?

— Jakem z Kowna odszedł, dostałem się na kolej. Z razu dziennie pracowałem przy remoncie, potem mnie naczelnik polubił i dał wiorstową budkę. Niedaleko Grodna to było, budka dobra z ogrodem, z pasemkiem pola, tuż pod stacją. Dał mi ją, choć sam byłem, kawaler, ale po małym czasie powiada: „Żeń się, bo donosy są, żeś nie żonaty, a to dwoje dróżników powinno być.“ Więc się rozzejrzałem, kogoby wziąć. Obcy człowiek byłem, ni duszy znajomej. Spodobała mi się służąca u drogowego majstra. Nie miejscowa była także, Mańka się zwała. Do majstra wstępowałem po służbie i przypatrzyłem się jej robocie. Ładna była i młoda, a taka skromna i poważna, jak święta na obrazku. Go-

spodni zła była jędra, dzieci czworo, ciężka służba. Bywało, i w nocy pierze, i w święto niema wolnej chwili, a nigdy nie narzeka. Z nikim się nie zadawała, z nikim ni śmiechu, ni swawoli, z nikim kompanii. Rozpytałem się jej o wiarę i ród. Mojej wiary była i sierota. Rozpowiedziała, że z daleka pochodzi, z pod Mińska, że córka ekonomska, rodzice jednego dnia na cholere pomarli, pani hodowała do lat piętnastu, a potem na służbę poszła. Była w Bobrujsku, potem w Grodnie, aż tu się dostała. Metrykę miała i papiery w porządku, i świadectwa co najłepsze. Rozmłował się ja w niej, że świata nie widział, zaczął codzien zachodzić i czuł, że mnie rada widzi. Oj, czasy to były dobre. No, i pobrali się w farze w Grodnie na Gromniczną, a pod wiosnę się brało, brzozę pamiętam, rozpuszczały, jak jej już nie stało. Tyle wszystkiego tego dobra było półtrzecia miesiąca, 26-go Kwietnia zginęła.

— Jakto, zginęła? — przerwał ksiądz.

— Maszyna przejechała wieczorem, po zachodzie!

Czuć było, że opowiadający ten moment tak widział, jakby to wczoraj było.

— Więc nie tyś ją zabił? — odetchnął ksiądz z ulgą.

— A któżby? Maszyna nie przyszła po nią do izby.

— Więc tyś ją pchnął?

— Żyć już nie było, jak razem, ale żeby słowo rzekła, co robi, tobym razem był poszedł z nią chyba! Nic nie rzekła.

— Co miała rzec? Co było między wami. Więc sama się zabiła?

— Zabił ją wstyd, i grzech, i kłamstwo. Alem ja nie był przecie najwinniejszy, każdyby tak zrobił jak ja, każdyby się obruszył. Dlaczegoż na mnie się wszystko zważyło? Za com przeklęty, że ni do Boga, ni świętego

ry, wychodząc z zasady, że nie masz złego, coby na dobre nie wyszło, pociesza zrozpaczone panienki tem, że gdy jest „mniej zabaw tanecznych, to i mniej jest wydatków, mniej kaszłów i katarów, mniej chorób piersiowych, mniej honoraryów lekarskich (pokreśliłbym nosem, gdybym był lekarzem), mniej nocy bezsennych, odcisków, flirtu i zawodów miłosnych, a najważniejsza to, że „taniec duszy i ciała szkodliwy, pocziwają być nie może rozrywką.“

Gdy już szanownemu kronikarzowi wymknęło się to zdanie księdza Ignacego Pawluskiewicza, nauk wyzwolonych i filozofii doktora, w szkołach nowodworskich dyalektyki profesora, bursy Starnigielkiej seniora, w Jeleśni plebana i Jego Królewskiej Mości sekretarza, podane ku wiadomości słuchaczy dnia 15-go Kwietnia roku Pańskiego 1771-go w dziełku p. t.: „Scive tuum,“ sypnął jak z rękawa przykładami o tańca złych skutkach, że—zaiste! mógł uspokoić tęskniące za karnawałem panienki i po utracie zabaw pocieszyć je. Płasy! ach — posłuchajcie, ile to one złego narobiły, według księdza profesora, na tym świecie Bożym. Ów taniec był przyczyną połamania tablic z Przykazaniami Bożemi, bo „gdy Hetman ludu Izraelskiego, Mojżesz,

ku obozowi przybliżył się, zobaczył tańce, zgniewawszy się bardzo, rzucił z rąk tablice i połamał je,“ a Psalmista mówi, że „bezbożnych ci to ludzi kołowrót,“ a święty Efrem twierdzi: „świętość to wolne, w które szatan wesele sprawuje, a aniołowie w żałobie chodzą,“ a święty Chryzostom prawi: „gdzie taniec rozpustny, tam czart zapewne jest, a jest nie tylko jako *spectator*, ale i jako *actor*, ażeby w płasach uwarzoną do złych pożądliwości krew zapalał, i, gdzie cugle swywoli popuszczone widzi, tym łatwiej w myślach takowe wzniecał ognie, któreby napotym żalodne ognie wszczęły i duszę na węgiel piekielny spaliły. Taniec, jest to *circulus vitiosus* „gdzie wstyd mieścić się nie może,“ „o skromność nie pytaj,“ „święta duszy i ciała zakwitająca niewinność na głowę przepada,“ gdzie biorą górę „śmiechy niepomiarowane, gesta niewstydlive,“ gdzie „kochanie jest mniej pocziwne,“ aż „wstyd o tem mówić i pisać.“ Każde obrócenie się w płasie tym szaleńczym jest o krok jeden zbliżeniem się do czarta, „nie ulżenie to, lecz uciemężenie przynosi,“ nawet cesarz Fryderyk III-ci mawiał: „wolałbym na febrę chorować, jak tańcować, bo co to mi za uciecha nogami po ziemi drepnąć? jak szalonemu w koło chodzić? raz pra-

wą, drugi raz lewą nogą nadskakiwać? wprzód i w tył się obracać? na jednym miejscu kroki nieustanne czynić? skacząc pocić się? aże krótko zamknę, bez dopuszczenia Bożego dobrowolnie szaleć.“

Dreszcz uczulem, czytając taką długą litanię zdrożności, które taniec wytwarza, a jakoże to wam okrutnie stanie się, po przeczytaniu tych przykładów księdza dyalektyka!... może wzrok jaśniejący wdzięcznością ku gwiazdzystemu niebu zwrócić, gdzie duch księdza Pawluskiewicza przebywa, a przez moje pośrednictwo dziękczynienie p. Bartoszewiczowi zanieście, że przypomniał wam tego profesora zacnego, który powstrzymał was na drodze, prosto do dyabła wiodącej, pozwolił ze smutku i rozpacz się otrząsnąć, z lżejszym sercem karnawał przeżyć, bo co do mnie, to ma już bezgraniczną wdzięczność kolega mój szanowny, albowiem dał mi możność wypełnienia paru szpalt pustych, niefatygowania zmęczonej i tak imaginacyi nad wynalezieniem w tych ciężkich czasach przedmiotu do pogawędki. Bo, zaiste! żadnych dziś wiadomostek na warszawskim bruku nie ułapać. Sprawy codzienne, powszednie nie obchodzą dziś ludzi; umysły wszystkie krwawą wojną zajęte, albo ruchem warszawskim,

człowieka nie śmiem oczu podnieść. Za co mnie to spotkało? Wszystko powiem, nic nie zataję, ani opuszczę. Nadto cierpieć i milczeć. Jak my się pobrali i w tej budzie razem osiedli, to mi się zdało, że w niebie. Takie to stworzenie było słodkie, i dobre, i wesołe, i pracowite, że myślę—za com ja sobie taką dolę wysłużył u Pana Boga. Ino śpiewanie u nas było i śmiech, i dobre słowa, a dnie, to mijały, jak sen. Na linii już robota była, chodziłem do dozoru, i raz wraz do budy zabiegałem na nią popatrzeć. Roboty w mig się nauczyła, przy baryerze zawsze w porę, sygnały znała, w ogrodzie kopać zaczęła. Na południe gdym nie wrócił, to mi obiad przyniosła, pogwarzyła, jak to ptaszę, a choć ludzi dużo było, i starszych, nigdy na nikogo nie spojrziała nawet, widać tak mnie miłowała okrutnie. A ja się tak nią cieszyłem, jakby anioł do mnie zstąpił.

Aż tu raz jeden z robotników pyta mnie:

— To wasza, ta kobieta? Mnie się zdaje znajoma.

— A ty z kąd? — pytam.

— Ja z Bobrujska.

— To może i znasz, bo ona tam służyła.

— Dawno?

— Trzy lata temu.

Pomyślał, głową pokręcił, powiedziałem nazwisko.

— Ktoby spamiętał. Tak mi się twarz przypominała.

I odszedł do roboty.

Na drugi dzień przyszła Mańka z obiadem, przysiadła przy mnie na podkładzie i gawędzi. Powiadam:

— Jest tu robotnik z Bobrujska. Pytał, kto ty?

Obejrzała się.

— Który? — pyta, bo właśnie leżeli w gromadzie.

Pokazałem, a i on patrzył na nią, ale się nie przywitał, i ona mu nie rzekła. Myślę—zdało się coś!

Wieczorem robotnik wstąpił, chciał kupić chleba. Zabawił małą chwilę, zapłacił i poszedł.

Ja i zapomniałem o tem po paru dniach, ale robotnik był mi wciąż na oczach i pamiętny, bo leniwy był i zuchwały. Raz i drugi naganiać musiałem i burczeć, a że się nie poprawiał i pyskował, przy tygodniowej wypłacie u drogowego majstra zameldowałem go do kary lub wydalenia, a że robotników nie brakowało, majster bez długiej sprawy wypłacił mu zarobek i kazał iść precz. Ten się wyprasał, tłómaczył, a że go nie słuchano, do mnie się odwrócił i powiada:

— A ty czego się panoszysz! Czy z tego, żeś dziewczkę uliczną za żonę wziął?

Takem do niego skoczył, i tak zdławił, że ledwie nas majster rozdzielił i tego za drzwi wyrzucił.

Od tej obelgi tom był jak pijany, przyleciałem do domu, trzęsąc się, jak w febrze.

— Co tobie? — przeraziła się Mańka na mój widok.

Powiadam co było, ledwie ze zgrozy dusząc słowa, a tu ona jak stała, tak i runęła mi do nóg i zmartwiała—bez ducha leży.

Porwałem na ręce, zacząłem cucić, rozcierać, a taki mnie strach uchwycił, jakbym sam konał.

— Co tobie, Mańka, co tobie? — wołam.

A ona ledwie się ocknęła, znowu mi do nóg, po ziemi się włóczy i coś bełkoce, coś jęczy.

— Co tobie? Opamiętaj się! Toć nie prawda! — mówię bez tchu.

A ona się poderwała na kolana, a taka straszna się zrobiła, że nie poznałem.

I słyszę, że mówi, ale i głos cudzy.

— Zabij mnie! to prawda!

Takem i zdrętwiał. Ot, czysto jakbym umarł. Takem na ławie siadł, i już się nie odezwał. Patrzę na nią i jakbym nie widział, jakby jej nie było, patrzę po izbie i izby nie poznaję, a we mnie to zrobiło się tak zimno i straszno, jakby w jakimś lochu. I wszystko mi jedno! Ona mi u nóg leży i szlochając, się spowiada. Słucham, ale mi wszystko jedno, co gada. Powiada, że w tym dworze, gdzie sierotą została, panicz ją zgwałcił, że uciekła wśród nocy, gdy się matką poczuła, że dobiła się do Bobrujska, tam w nędzy przeżyła straszne czasy, aż wreszcie dostała służbę uczciwą. Takie męki opowiada, że kamieniby się uzalił, a mnie już wszystko jedno.

Słucham i słowa nie mówię, niema we mnie ni złego, ni dobrego — ot drewno!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Na skale zgasła gwiazda latarnika...



Wichrowe bice siekają wód opony,
Miotają pianą z głębin na fal grzbiety,
Powstały z bezdni mórz ciemne atlety,
Jak lewiantów tłum w boju szalony...

Na skale zgasła gwiazda latarnika...

Noc w mojej duszy... lęk w piersi się rodzi,
Jam jeden ostał w mej bezsternej łodzi
I światło z duszy do ócz nie przenika...
Lęk światłość zabił...

Wpływałem na morze
Z rozwianym żaglem... z podobłocznej flagi
Dał mi na czoło szumny wiatr odwagi,
Co zda się siły niezwyčajne zmoże...

każdy żyje życiem przyspieszonym, niepewnością jutra, ma na ustach jedne i te same wyrazy, jedne i te same pragnienia w sercu, szeroką połąkę świata jakiś chaos ogarnia, z którego wyłonić się ma życie nowe, nowy twór czasów. Pisz-że tu o troskach powszednich, o kłopotach powszednich,— wszystko się takie marne a banalne wyda; chwytaj nowinki uliczne, gdy grom bije, a lasy płoną; a jednak nad temi lasami potrzeba przejść i sięgnąć do torby powszedniości. Nie powszednią wam bowiem rzecz powiem, a wyciągnąłem ją z „Kurryera Warszawskiego.“ Zwrócił moją uwagę krótki a wiele mówiący tytułik artykułu: „Dzielna niewiasta.“ A komuż, jeżeli nie wam o tej dzielnej niewiście się dowiedzieć, w chwili, gdy kobiety z dniem każdym coraz większą rolę na arenie świata odgrywać zaczęły. Posłuchajcie, co może zrobić energia, wola silna, duch przedsiębiorczości.

„Pani Korwin-Piotrowska (ze staropolskiego gniazda Piaseckich, w Szyrwintach pod Wilnem) kołatać ją przed wielu laty o miejsce i sposób ufundowania szkoły praktycznej dla — gospodyń wiejskich, nie „od parady,“ ale takich, które z chat wiejskich i drobnych

dworków wyszedłszy, mogłyby całą gospodarkę wiejską prowadzić w przeciętnym, w średnio lub małosamożnym dworze wiejskim. Kuchnia, spiżarnia, drób, mleczarstwo, obora, ogród warzywny i owocowy, bielizna, drobny przemysł, rachunkowość — oto główne punkty programu. Zasada główna: praktyczność, uczciwość i doświadczenie.

Nie zgadnie nikt, gdzie udało się nareszcie zdobyć pole do popisu. Hen, w okolicach Szlisselburga, nieopodal jeziora Ładogi, Ministerium rolnictwa dało p. Piotrowskiej kawałek wydmy pustynnych tamtejszych. Na wydmie tej energia niezłomna rodaczki naszej wzniosła budynek szkolny, zabudowania gospodarcze, ogród. I zaczęła tam funkcjonować szkoła, o jakiej się rzekło, produkująca cały zastęp wykwalifikowanych gospodyń wiejskich, wykrzesanych z dziewcząt włościańskich okolicznych.

Zjednawszy sobie gorące uznanie p. ministra rolnictwa, zdobyła sobie oto teraz p. Piotrowska inny, a upragniony posterunek. Ministerium rolnictwa upoważniło p. Piotrowską do założenia takiego właśnie typu szkoły pod Wilnem, w powiecie Oszmiańskim, w murach poklasztornych, w majątności Nar-

wiliszki, należącej obecnie do dóbr państwa, oddając na własność szkole pięć dziesięcin ziemi narwiliskiej. W dobrze jeszcze zakonserwowanych budowlach murowanych, gdzie do niedawna mieściły się koszary, p. Piotrowska już rozpoczęła przeróbki i na „gruntach szkolnych“ z pierwszym błyskiem wiosny rozpoczęła się roboty ogrodnicze.

Nie tracąc ani chwili czasu, pragnie p. Piotrowska rozpocząć praktyczne nauki w Narwiliszkach już na wiosnę bieżącego roku. Uczennice znajdzie, oczywiście, mnóstwo: z wiosek okolicznych, ze stron dalszych, z zaścianków, z osad i mająteczków szlacheckich. Wszak szkoła taka, toć to rzetelne dobrodziejstwo — i dla uczennic, i dla ich rodzin, i dla dworów wiejskich.

Uczennice stałe, przebywające rok okrągły w zakładzie (liczbę normuje jeno miejsce, którem szkoła rozporządza, a szkołę tworzy budynek niemały) płacą rocznie za zupełne utrzymanie i naukę 150 rubli. Uczennice przychodnie nie płacą nic.

Niedużemi funduszami rozporządza p. Piotrowska. Starczy od biedy na najpilniejsze, pierwsze potrzeby. To też już p. P. krząta się około urządzenia koncertu w Wilnie, na

Jak zapobiedz nerwowości.



Nie sztuka wyzdrowieć, — na to bez naszego duchowego i świadomego współdziałania składa się organizm i lekarz. Trudniej zdrowie utrzymać, chorobie zapobiedz, gdyż składają się na to długoletnie zabiegi rodziców, wychowawców, a gdy dana jednostka wyjdzie z pod ich opieki — jej własne, nieustanne współnictwo, zwłaszcza jeśli chodzi o uniknięcie lub o przeciwdziałanie chorobie najdotkliwszej i zagarniającej w obecnych czasach najwięcej ofiar, to jest neurastenii. Wszelkie stany nerwowe bywają zwykle dziedziczne, mimo to niepodobna poddawać się prawom tak smutnej puścizny, ani oddawać na jej pastwę — dzieci.

Walkę z tym wrogiem prowadzi wychowanie, — ono jest antidotem, ale z drugiej strony klątwą dzieci, obarczonych takim spadkiem, stanowi to, że ci właśnie, po których go biorą, są ich przyrodzonymi wychowawcami. Rodzice chorzy nerwowo nie prowadzą dzieci, ale je szarpią — raz w jedną, raz w drugą stronę: to okazując im srogość, to znowu pobłażliwość nadmierną, niezdolni utrzymać sami ani nadać innym równowagi. Zaś dzieci, zagrożone nerwowością bardziej od innych domagają się systematycznego kierunku i potrzebują mieć wychowawców rozsądnych, taktownych, umiających panować nad sobą.

Pierwszym warunkiem do wzmocnienia nerwów jest hartowanie dziecka fizycznie i duchowo. Należy je wdrażać do znoszenia cierpliwie drobnych przeciwności życiowych, do wyrzekania się swych zachcianek, do robienia zawsze w danej chwili tego, co robić trzeba. Zbytняя miłość rodzicielska, zasadzająca się zwykle na dogadzaniu i psuciu dzie-

ci bywa pierwszym szkopułem, o który rozbija się zdrowie tych ostatnich. Dalszemi niebezpieczeństwami są: narzucanie dziecku przyjemności a nawet obowiązków, nieodpowiednich do jego wieku, sprzyjających przedwczesnemu rozwojowi. Mózg nie może poddać zadaniom, które go obciążają wychowawcy, siła odporna zużywa się przez nadmiar wrażeń lub myślowego wysiłku. Żądać czynów dojrzałych od niedojrzałego organizmu, to grzech popełniany ustawicznie przez próżność i nieświadomość rodziców. Pragną popisywać się dziećmi i dlatego każą im przedwcześnie dojrzewać, jak ogrodnik roślinom cieplarnianym.

Pierwszym obowiązkiem wychowawców — poznać, że tak powiem, gatunek i objętość uzdolnień i zwrócić je we właściwym kierunku. Wytykanie dróg, zmierzających do celów niedoścignionych lub nie wartych zabiegów, to drogowskaz niebezpieczny; prowadzi nieraz do domów zdrowia i szpitali obłąkanych. Natomiast pancierzem, chroniącym od nerwowych rozstrojów, jest zaszczepienie w duszy dziecka ambicji szlacheckiej, wytknięcie celu niekoniecznie wzniosłego, lecz bezwarunkowo pożytecznego — celu, do którego dochodzi się tylko pracą. Była ona może karą dla Adama i Ewy, ale potrzeba kazała ludziom zrobić z niej szczęście. Jest niem oddawna, a w wieku nerwowym jest po za tem i lekarstwem. Trzeba jednak używać go ostrożnie, bo nadmiar pracy szkodzi nerwom, niemniej od próżniactwa. Koniecznym warunkiem utrzymania ich na wodzy jest równomierny podział zajęć, w którym ruch, ćwiczenia fizyczne odgrywają taką samą rolę, jak i umysłowe zajęcia. Jedne powinny być przeplatane drugimi, a każda czynność — krótkim odpoczynkiem; w razie przeciwnym, działalność serca osłabia się, a za nią idzie osłabienie funkcji mózgowych; sześć godzin

I byłem panem wód... bo nieb błękitny
Żadnej mi jeszcze nie wróżyły kłęski,
Płynąłem cichy, — korny, — a zwycięzki,
Do jasnych brzegów, z kąd dni wstają świty...

Ufałem sobie, — i morzu, — i gwieździe,
I siłę dobra, — co w moc złego godzi,
I mocen byłem wiarą — w kruchej łodzi
Jak orlą w matki hodowane gnieździe.

Próbuję skrzydel...

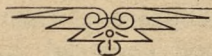
Lotne moje pióra,
A pierś się wichrom i burzy ostoi,
Wybiegli z gniazda w pierw już bracia moi
I przed ich skrzydły rozwiała się chmura...
Więc ja powieję tam... i ztamtąd wrócę...
Błękitu zniosę szmat na mojem skrzydle,
Na Pegazowem zawisnę wędzidle,
Peaniem głośnym niebu dank zantęce...

Dłoń ma w stalowe zakuta ogniwa
Do walk z upiory i złą mocą starczy,
Pierś ma silniejsza od spiżowych tarczy,
A duch, — jak wichur do lotu się zrywa.

Wierzyłem fali, że wróci do brzegu,
Więc jej mej łodzi powierzyłem losy,
Śledziłem wzrokiem bratnim albatrosy,
Gdy się do lotów zrywały z noclegu...

Dziś lęk, jak widmo przedemną pomyka,
Burzą strzaskane z rąk wypadły wiosła,
Fala na otchłań łódź moją poniosła, —
Na skale zgasła gwiazda latarnika.

Ida Pilecka.



rzecz szkoły narwilskiej, na co już chętnie udzielił pozwolenia p. gubernator wileński Freze; może Towarzystwo rolnicze wileńskie będzie mogło coś uczynić; wiemy, że kilka warsztatów tkackich daje szkole p. Józef Montwill, może kto inny rzuci garść szczerpów owocowych. Rzecz warta poparcia, warta zapobiegliwego zainteresowania się nią wśród sfer ziemiańskich.

Czyż można wątpić, że społeczeństwo nasze głuche na to pozostanie? Jeżeli jednostka o dobrej woli, o charakterze silnym, z małemi, jak widzimy z relacji, funduszami, dla przeprowadzenia obywatelskiej myśli swojej nie zawahała się od mroźnej Ładogi pracą swoją rozpocząć, — czyż zbiorowa siła społeczna nie przysłaby z pomocą tej myśli zacnej, w czyn już zresztą zamienionej? czyż nie uczulibyśmy płomiennego rumieńca na twarzy, w odmówieniu poparcia zacnej inicjatorce szkoły? nie byłoby to przyznaniem się do bezsilności, apaty, do spróchnienia?

Myśl podobna nie niepokoi nas. Znamy rozum i wytrwałość Litwinów, znamy ich poczucie obywatelskiego obowiązku.

Kiedy już mowa o ludziach dzielnych,

niechże mi wolno jeszcze będzie i nową dobrą wiadomością podzielić się z wami.

„Pod samym Wyszogrodem w pow. Płockim leży duża wieś Rembowo, przeszło 3,000 ludności licząca, w której mieszkają zamożni kmiecie, znani oddawna ze swej ucziwości i ofiarności. Rządzili się oni do końca wieku XVIII-go osobnemi prawami, nadanemi im jeszcze przez króla Władysława Warneńczyka, przyczem spis tych praw do ostatnich lat chowany był w drewnianej skrzynce gospodarzy rembowski.

O jednym z gospodarzy tych znajdujemy następującą notatkę w jednym z numerów „Ech płockich i włocławskich.“

W tych dniach w kościele parafialnym w mieście Wyszogrodzie zostały ostatecznie wykończone nowe organy, wykonane przez znaną w kraju fabrykę Dominika Biernackiego w Dobrzyniu nad Wisłą, a stanowiące dar Kazimierza i Franciszka Śmigielskich, gospodarzy z Rembowa. Chociaż w tej okolicy, jak pisze do „Ech“ ktoś podpisany pseudonimem „pani Janowa“, jest wielu ludzi ofiarnych, hojność Śmigielskich jest bezprzykładna. Oto ich czyny: ufundowali kaplicę ementarną za 6,000 rubli, ogrodzili dwa cmenta-

rze kosztem 2,000 rubli, na Świętopietrze dali 300 rubli, na kościół rembowski 800 rubli, na odnowienie katedry płockiej 300 rubli, kielich mszalny sprawili za 100 rubli, ufundowali organy dla kościoła w Kobylnikach za 1,200 rubli, na stacye dali 100 rubli, a obecnie organy w kościele wyszogrodzkim kosztowały ich przeszło 3,000 rubli. Zresztą mniejszych ofiar w bliższe i dalsze strony, jałmużny, składek gminnych i szkolnych dawali bez liku, a wszystko to w cichości, aby nie widziała lewica, co robi prawica.

Ten trzywłókowy gospodarz potrafił poczynić tyle ofiar!

Czy to nie wymowny nad wyraz dowód — kończy sprawozdawca, od którego tę wiadomość czerpiemy, — że i tu, wśród tej „szarej prowincyi“ są dusze o idealnej jasności, i tu, w tej „głuchej prowincyi“ są serca bijące tętnem poświęcenia się, szlacheckiej ofiarności. O czynach tego rodzaju, co Śmigielskich, należałoby pisać złotemi głoskami i podawać o nich wiadomości dla innych i szerokich kół społeczeństwa.

Kazimierz Gliński.



na pracę, ośm na rozrywki, przechadzki, dziecięć na sen, to najlepszy regulator nerwów młodzieży.

Po za tem nadaje im odporność hart ducha; ćwiczymy w nim dzieci, nie rozwodząc się nad ich bólami, troskami, ucząc je własnym przykładem, że nasze osobiste cierpienia nie są większe od cierpień cudzych, a że chcąc je zmniejszyć—najlepiej *cudze* za większe uważać. Poczucie łączności z całą rodziną ludzką, zdrowe ziarno altruizmu, zasiane w młode serca, to silna broń przeciw filtrowaniu przez alembik samolubstwa żalów do świata, bo z takiego filtru sączy się powoli jad, zatruwający serce i duszę, sprzyjający przeczuleniu, a tem samem neurastenii.

Sprzyja jej również chwiejność sądów, postanowień. Wiele osób po tysiąc razy przetrawia w myśli zamiary, projekty, rozważa każde słowo, martwi się własną bezradnością i biadając nad brakiem woli, tem samem ją trwoni. Są to zwykle osoby, które w dzieciństwie były zmuszone do ślepego posłuszeństwa i pozbawiane inicjatywy. Uniknęłyby ciągłych i męczących wahań w sprawach błahych zarówno, jak i w ważnych, gdyby rodzice przyzwyczaili je do radzenia sobie, do szybkich decyzji, wyrabiających przytomność umysłu. Przeskoki od wesołości do smutku, coraz to nowe zachcianki,—oto zwykle objawy nerwowości, które łatwo dają się stłumić w wieku dziecięcym, o ile wychowawcy posiadają sami przeciwagę w zaletach wręcz przeciwnych tym chorobliwym stanom, a więc potrafią nietylko słowami, lecz przykładem wdrażać dzieci do równowagi humoru i zdawania sobie sprawy: czego chcą i dlaczego chcą tak, a nie inaczej. Jeśli tylko będziemy folgowali coraz nowym zachciankom, to już wreszcie nie naszych dzieci nie zadowolimy, wyrosną na ludzi szukających po świecie zaspakajania fałszywych apetytów, zużyją siłę woli, rozproszą ją na bezużyteczne, marne wysiłki i pozbawią się spokoju ducha.

Uczmy więc nasze dzieci mieć pragnienia odpowiednie do uzdolnień, dążenia wyższe, ale nie *za* wysokie, niech pracują i odpoczywają w miarę, zapatrują się na świat, ludzi, siebie, przykrości i przyjemności życiowe trzeźwo, stawiają wszystko na miejscu właściwym, robią to, co robić należy i kiedy należy, a obdarzymy je wielkim szczęściem, którym jest spokój i równowaga ducha i „niezawodnym środkiem“ przeciw chorobliwej nerwowości.

Tłóm. E. Żm.



Z cyklu „Modlitwy.“



Panie, którego morskie słuchają odmęty,
Panie, którego chwałę ludy głoszą wiernie,
Korząc się oto Twojej wszechpotężnej świętej,
Panie, któryś na drogi życia rozsunął ciernie,—
Wierzę, iżęś w dobroci Swojej niepojęty,
Wierzę, iżęś litosny dla nas niepomierne.

Ty, ku którego chwale gorą jasne zorze,
I który wiesz o wszystkim, co jest we wszechświecie,

Panie, który przenikasz głębie tajemnicze
Duszy ludzkiej, powolnej Tobie jako dziecię,—
Panie, jednej z dusz ludzkich odejmij gorycze,
Boś jest w litości Swojej niepojętym przecie.

Panie, racz zmiłowanie mieć nad jedną duszą
I od wszelkiego bólu racz Ty ją zachować,
Spraw, niech na jej drodze głązy się pokruszą
W piasek miękki — po łąkach Ty ją, Panie, prowadź,
Niechaj promienie słońca lży jej z ócz osuszą
I kwiatom każ jej stopy znużone całować.

A jeśli wyznaczyłeś duszy tej pokutę
Za winy, przeciw Tobie, Panie, popełnione,—
Spraw, niechaj moje drogi będą cierniem snute,—
Bo oto poświęcenia za nią żądzą płonę
I jestem, jako były mężę w stal zakute,
A to jest dziecię, Panie, słabe i znużone.

Panie, w wyrokach Swoich jesteś sprawiedliwy,
Lecz oto racz wysłuchać błagalne pacierze:
Nie odmów Ty jej, Panie, Twojej opieki kłiwej
I na czas smutków ześlij z nieba jej puklerze...
A oto jestem w modłach ufny i żarliwy,
Bo w niepojętą dobroć Twoją, Panie, wierzę.

I wierzę żeś litosny dla nas niepomierne,
I błagać śmiem spełnienia woli Twojej świętej,—
Panie, którego chwałę ludy głoszą wiernie,
Panie, którego morskie słuchają odmęty,
Panie, któryś na drogi życia rozsunął ciernie,
Wierzę, iżęś w dobroci Swojej niepojęty.

Stanisław Poraj.



Jan Łada.

PIÓREM I OLÓWKIEM.



(Ciąg dalszy).

II.

Ślady Wenecyan i Anglików na Korfu.—Egoizm republiki św. Marka.—Cywilizacyjny wpływ Anglików.—Pałac królewski.—Esplanada.—*Dolce far niente* na Korfu.—Pomniki na esplanadzie.—Stara cytadela.—Kościół i widok ze szczytu fortecy.—Bulwar cesarzowej Elżbiety.—Przedmieście Kastrades i grobowiec Menekratesa.—Śródmieście.—Domy i sklepy.—Charakter ludności.—Jej uprzejmość.—Zestawienie z Włochami.—Cerkwie.—S. Antonio.—Metropolia.—Święty Spiridon i jego kult na Korfu.—Procesje świąteczne.—Nabożeństwo u Greków.—Religijność mieszkańców Wschodu.—Ich ofiarności.—Papasy i kalugerowie.—Polożenie duchowieństwa w Grecji.—Katedra katolicka.—Annunziata.—Stan katolicyzmu na wyspach Jońskich.—Ujemny wpływ Wenecyan.—Pomieszanie wyznań i chaotyczne stosunki kościelne.—Instytucje katolickie.—Zakonnice.—Brak szkół katolickich.

Stolica, a zarazem jedyne miasto wyspy, jest naprawdę, pomimo 28,000 mieszkańców, straszliwą dziurą. Jak na całej wyspie to wszystko, co jest większego, pożytecznego i trwałego, pozostało po Wenecyanach, lub zrobione jest przez Anglików: ludność miejscowa zostawiła ślad swej działalności jedynie w zniszczeniu pomników pracy i myśli przybyszów. Po Wenecyanach więc zostało parę fortec, trochę starych pałaców i kościołów, ogółem przyznać trzeba nie wiele. Zazdrosna polityka Signorii nie dopuszczała w koloniach szerszego rozwoju, aby nie wytworzyć współzawodnictwa z metropolią i nie obudzić samodzielných aspiracji. Wstrzymy-

wano też ze strony weneckiej rozwój przemysłowy i ekonomiczny, patrzano krzywo na wszelką inicjatywę, a nawet wszelka próba upiększenia kolonii spotykała się z podejrzliwością i niechęcią. Ztąd wielce charakterystyczne ubóstwo i szczupłość kościołów i pałaców w dawnych weneckich miastach na półwyspie istryjskim i dalmackim, ztąd tak mało nikłych, weneckich pamiątek na tych wyspach archipelagu, które przecież aż dotąd zachowały tak potężne ślady weneckich wpływów i panowania na swym obyczaju, w języku, kulturze.

Inny zupełnie wpływ wywierali Anglicy i inny ślad pozostawili po sobie. Geniusz tego wielkiego narodu inaczej pojmował dzieło kolonizacji od zazdrosnej, ciasnej, samolubnej oligarchii kupieckiej św. Marka. I nigdzie może nie objawił się tak świetnie, jak w ustroju i rozwoju kolonii. Niema chyba narodu, któryby w nowszych czasach tyle miał wspólności z duchem twórczym i organizacyjnym dawnego Rzymu. Jak Rzymianie, tak Anglicy wnoszą, gdziekolwiek stąpią, ład, spokój i powagę prawa, doskonałe komunikacje, wysoką ekonomiczną i intelektualną kulturę, wreszcie ten szlachetny komfort, będący nieodstępłą cechą wyższej cywilizacji i estetyki życiowej, a tak nieskończenie doskonalszej od zmysłowego używania. Pozostały też po Anglikach we wszystkich kierunkach wyspy wyborne drogi, mosty, kanały, tak doskonałe, że pomimo wszelkich usiłowań, obecni panowie Korfu nie byli w stanie ich zniszczyć. Wyspa za panowania angielskiego wyglądała jak jeden wielki ogród, a kultury oliwne i winne przynosiły ogromne dochody i zapewniały bogactwo mieszkańcom, których udziałem obecnie od czasów wolności jest straszna nędza, co prawda pochodząca z własnej winy.

Środek miasta pochodzi z czasów weneckich, za to wspinała esplanada z pałacem królewskim, szeregiem publicznych gmachów i pomnikami kilku wielkorządców, jest pozostałością angielskich czasów. Pałac niegdyś gubernatorski, gruntownie brzydki, jak wszystkie gmachy z początku tego wieku, na żółto pomalowany, z dwoma niemożliwie ciężkimi i śmiesznie kolumnadami po bokach i z zielonemi okiennicami, ma istotnie wszystkie warunki, aby odstraszyć od przybycia do Korfu rodzinę królewską, która też niezmiernie rzadko zagląda na uroczą wyspę. Ogród za to choć nie wielki, ale jak wszędzie na Korfu, niezmiernie bujnie rozkwitły, pełen rzadkich, dziko a potężnie rosnących krzewów, chwytają oczy aksamitną zielenią i odurza zapachem kwiatów. Przy kracie ogrodowej w dole nad samem morzem, z fundamentami wchodzącymi w wodę stoi mała, niska cerkiewka o bardzo wdzięcznych architektonicznych formach. Olbrzymią esplanadę zamykają od strony wybrzeża długie rzędy platanów i mirtów, a w środku ogromny tłum gapiów, zbitych w kupę, okrąża obszerny czworobok, w którym oficerowie angielskiej korwety wojennej grają w *foot-ball* i w *lawn-tenis'a*. Publiczność, ze wszystkich warst społecznych złożona, bawi się doskonale i z zapałem przyklaskuje zwycięzcom. Że to jednak dzień powszedni, to mnóstwo bezczynnych ludzi nastęrcza zaraz sposobność do wyrobienia sobie

sądu o usposobieniach mieszkańców, a sąd ten niezbyt korzystny, aż nadto jest niestety usprawiedliwiony.

Inne tłumy przechadzają się w alei wzdłuż esplanady i linii kończących ją domów. Pod arkadami, naśladowanymi bardzo oczywiście nieudolnie gmachy weneckie, siedzi kilkaset osób, popijając czarną kawę i raki, grając w domino i bawiąc się wielkimi, na sznurku nanizanymi paciorkami. Z przeciwnej strony, dwa wielkie lwy i dwie armatnie paszczę strzegą wejścia do cytadeli, do której przechodzi się przez kilka bram sklepionych i zwodzonych mostów. W głębi całe jakby miasteczko, dość opuszczone i nie mające nic militarnego charakteru, a najwybitniejszym jego budynkiem jest obszerny, żółty czworobok z kolumnadą, mający, zdaje się, wyobrażać staro-grecką świątynię, a naprawdę podobny do pretensjonalnej szopy. Budynek ten wystawili Anglicy jako protestancką świątynię dla swoich żołnierzy, drugą zaś całkiem podobną i równie brzydka, tylko mniejszą, ozdobili miasto. Ta ostatnia dotąd jeszcze służy za zbór anglikański; pierwszą po przejściu wyspy pod panowanie greckie zamieniono na garnizonową cerkiew i tu się odbywają wszystkie dworskie i narodowe uroczystości religijne.

Po za kościołem, na szczycie cytadelnego pagórka, odsłania się prześliczny widok na szerokie morze i okoliczne wybrzeża. Na lewo od strony Mandukio, przeglądają wąskie, podłużne wyspy Vido i Lazzaretto, bliżej ku albańskiemu brzegom wysepki Sybota, a dalej, na prawo ku zawrotowi brzegu podnoszący się w górę wierzchołek Analipsis, za którym znajduje się słynna Punta Canone, a za nią ciche, stojące jezioro Kalikiopulo. Od strony ładu rysuje się na błękitnym tle nieba lekka, smukła wieżyca św. Spiridyona, za nią na prawo *Campanile Panagia Spilotissa*, na lewo zaś zdala za miastem ciemna dzwonnica monasteru Platiterra. Na pagórku pomiędzy Platiterra a Mandukio czernieją mury *Fortezza Nuova*, a po nad szarym chaosem piętrzących się domów, wyrastają zewsząd ciemne, lasami okryte wierzchołki gór, na północ szczyt S. Salvatore, na zachód szeroki grzbiet S. Deca.

Na esplanadzie, przeważnie w pobliżu cytadeli, szereg pomników, z tych jeden tylko z weneckich czasów, poświęcony pamięci dzielnego obrońcy wyspy, generała Schulenburga, inne w kształcie obelisków lub klasycznych kapliczek czy altanek, tak ulubionych w początku tego wieku, wzniesione są za panowania angielskiego ku czci gubernatorów Douglasa, Maitlanda, Adamsa, ten ostatni, co prawda, z konną postacią wielkorządcy, ulaną z brązu. Przed tarasem prowadzącym do gimnazjum bieleje nowy marmurowy pomnik bohatera walki o niepodległość Kapodistryi, pochodzącego z Korfu i spoczywającego obecnie w monasterze Platiterra.

Za cytadelą wzdłuż wybrzeża ciągnie się bulwar, jeden z najpiękniejszych, jakie istnieją na całym świecie. Jedna *Lange Linie* w Kopenhadze go przewyższa, ta nieskończona, tytaniczna grobla, nie wiem o ilu kilometrach długości, idąca wzdłuż morza, którego szare fale rozbijają się i pienią daremno u jej granitowych podstaw.

Bulwar na Korfu nosi od niedawna imię cesarzowej Elżbiety, tyłoma niemi związanej z tą wyspą, dla której nieszczęsna monarchini uczyniła tak wiele, której piękności odczuwała tak gorąco. Od brzegu gmachy esplanady kończą się budynkiem gimnazjalnym, w którym Anglicy umieścili założony przez siebie i dzięki ich opiece pomyślnie rozwijający się Uniwersytet grecki, skasowany, jak tyle innych rzeczy, po zajęciu wyspy przez Greków. Dalej z po za zieleni drzew, rosnących w nieładzie na miejscu dawnego skweru, przeglądają bardzo nędzne domki i szopy przedmieścia Kastrades, a dalej jeszcze ukryty wśród zielonego gąszczu, prawie na równi z powierzchnią ziemi, okrągły kamienny grobowiec Menekratesa, który, jak głosi napis, utonął przy brzegach Korfury na ośm wieków przed Chrystusem.

Z przeciwnej strony widok wprost cudny: morze ciche, prawie gładkie i u brzegów tylko kołyszące się zlekka, a tak głęboko szafirowe, że aż chciałoby się własnym oczom krzyknąć, że to nieprawda i ułuda. W głębi, po za opalową mgłą widać grzbiet gór albańskich, a na lśniącej szybie wodnej ślizgają się rzadkie białe żagle, jak stado mew, szukających w wodzie zeru. U nadbrzeżnej balustrady rybacy rozwieszają czarne, mokre siecie, a środkiem ulicy przechodzą gromadki spacerujących korfotów, pomiędzy którymi tu i ówdzie odróżnia się północny typ brytański i przejeżdżają rzadkie fiakry z turystami.

Ku środkowi esplanady zdąża główna ulica, rozdzielająca je na dwie niemal równe połowy. Jest ona odrobinę szersza od innych, to znaczy, że dwa wozy mogą się na niej wyminąć z niemalą biedą. Domy wysokie, wąskie, stare, z balkonami i zakratowanymi oknami, przypominają bardzo południowe Włochy, ale trochę już zatracają Wschodem. Choć to główna ulica, cała zapełniona sklepami, sklepy te wyglądają bardzo dziwnie. Każdy z nich przedstawia się jako wązka, czarna nora, do której światło przechodzi tylko przez drzwi otwarte, a co najwięcej przez drugi jeszcze niski i wązki, horyzontalnie wydłużony otwór, mający szczególną pretensję uchodzenia za okno. W otworze tym, po za grubo okurzonym zielonkawym szkłem, majaczą niewyraźnie jakieś przedmioty, tworzące zapewne coś w rodzaju sklepowej wystawy. Nie są one jednak potrzebne dla zachęcania przechodniów do kupna, obowiązek ten bowiem spełnia z powodzeniem sam właściciel sklepu, stojący nieodmiennie we drzwiach i zachęcający do wejścia z uprzejmym uśmiechem i miodowymi słówkami, ale bez natręctwa, do jakiego się przywykło we Włoszech. (C. d. n.).



SZKICE Z OKNA.



(Dokończenie).

V.

Dn. 3-go Września.

W przeciwległej kamienicy mieszka moja kuzynka Lila.

Jest to wdowa, która po śmierci męża znalazła się bez środków do życia. Jedna z tyścia!

Ile razy czytam mniej lub więcej długie, mniej lub więcej uzasadnione rozprawy, o szkoldowości pracy po za domem dla zdrowia kobiet, tyle razy staje mi w myśli Lila.

Ci kochani autorowie, którzy stale zapominają, że kobieta musi jeść, aby żyć, że niema dotąd instytucji, która dawała by darmo jedzenie, mieszkanie, ubranie, młodym kobietom bez grosza.

Jeżeli mnie Pani posądza o chęć rozprawiania na temat „kwestyi kobiecej“, to omyłka Pani jest, jak ocean, głęboka. Mógłbym z równym pożytkiem stanąć nad bystrą rzeką i przemawiać:

— Moja kochana, nie występuj z brzegów, bo to może zaszkodzić tym, którzy w twojem sąsiedztwie mieszkają. I tobie także nie z tego nie przyjdzie. Będiesz miała zamulone wody, puste, obdrapane brzegi i stracisz na wdzięku i urodzie. Lub też mówić wręcz przeciwnie:—Pędź rzeko i t. d.

Kobiety pracują po za domem, bo muszą, bo jest to jedyny sposób zapewnienia sobie „domu“, choćby w postaci wynajętego ciepłego kąta.

Kobiety uchodzą za istoty bardzo gadatliwe, ale przyznać trzeba, że na sto napaści w druku zaledwie na jedną odpowiedzą. Nie tracą czasu na polemiki, jak gdyby wzięły sobie za dewizę: „tylko czynem ludzi przekonasz.“

I to im chwałę.

Moja kuzynka od dziewiątej rano do piątej wieczorem rachuje cudze pieniądze, oblicza zyski, wydatki, etc. Nie dziwiłbym się, gdyby po powrocie do domu odpoczywała.

Odpoczynek? Wolne żarty! Te pracujące kobiety gardzą odpoczynkiem.

— Ależ Janku, ja także chcę żyć! — woła Lila z oburzeniem, kiedy podziwiam jej ruchliwość.

— Co ty nazywasz życiem?

Rusza ramionami i wykręca się po kobiecemu pytaniem:

— A ty?

Lila ma ogromnie wiele zapału. Jeżeli podobna się jej jaka książka wmusza ją znajomym; „to trzeba przeczytać.“ Jeśli przejmie się jaką kwestyą, musi dla niej popracować w kierunku jej rozwoju lub burzenia.

Zwróciłem raz uwagę Lili, że pracuje wśród bardzo inteligentnego koła kolegów i koleżanek. Jej biuro ma swoją kassę oszczędnościowo-pożyczkową; urzędnicy wspólnie prenumerują pisma...

Później dopiero dowiedziałem się, że to Lila zabiegała koło tych rzeczy pożytecznych, mam podejrzenie, że jeśli nie rzadzi kolegami, jak sama chce, to tylko dla tego, że nie uważa, aby te rzady były potrzebne.

Kobiety, pracujące w biurach wnoszą do nich dość często wyższą kulturę, wyższy stopień wykształcenia ogólnego; wyniosły je z domu, dopóki był. Dotąd rekrutują się one ze sfery inteligencji. Widzimy tu córki doktorów, adwokatów, obywateli wiejskich i t. p.

Lila lubi mieć wpływ na ludzi, ale — bez zgłosu.

— Wyobraź sobie, mówiła mi pewnego

dnia bardzo zmartwionym tonem; mój szef radził innym urzędnikom brać ze mnie przykład co do akuratności w robocie. Gotowi mnie za tę pochwałę niecierpieć. Nie wiedziałam, co mam z sobą począć. Oddał mi niedźwiedzią przysługę.

— Dziwny, wyjątkowy szef — zauważyłem.

— Wyjątkowy, to prawda.

— Czy ty myślisz o przyszłości, Lilo?

— Jak to?

— Odkładasz co?

— Odkładam gratyfikację, pięćdziesiąt rubli rocznie.

— To znaczy, że po dziesięciu latach wolno ci będzie nawet zachorować; będziesz miała na doktora, aptekę i na utrzymanie przez parę miesięcy w razie utraty miejsca. A na starość?

— Masz słusność, odparła. Ale cóż zrobić? Biorę miesięcznie pięćdziesiąt rubli. Pokój z całodziennym utrzymaniem—trzydzieści rubli; nie mogę oszczędzać na jedzeniu i powietrzu; zostaje mi dwadzieścia rubli na inne wydatki.

Wyłożyła mi przez $a+b$, że zaledwie kilkanaście rubli remanentu z roku na rok jej zostaje.

Od tej rozmowy trapi mnie ciągle myśl, co stanie się z moją Lilą na starość? Jest ona w położeniu tysiąca innych; mnóstwo urzędniczek mniej od niej zarabia. Na żadną emeryturę liczyć nie mogą.

Pani powie: „może wyjdzie za męża.“

„Może“ jest hypoteką tak lichą, że nie pragnę niczyjej przyszłości na niej opierać.

Zresztą minęły już błogie czasy, kiedy zamążpójście zabezpieczało byt aż do śmierci, jeżeli wogóle takie czasy kiedykolwiek istniały.

Zabezpieczenie od niedostatku starości wszystkich pracowników bez różnicy płci—to pierwszy obowiązek tychże pracowników.

U Lili spotkałem kilka jej koleżanek z różnych biur; zetknąłem się z tą nowożytną sferą kobiet z inteligencji pracujących po za domem. U nich panuje poszanowanie pracy,—to cecha, która przedewszystkiem bije w oczy, dalej widzę w nich wiele ambicyi i pracowitości; wreszcie dużo anemicznych twarzy, a pomimo tego dużo dobrego humoru.

Nieźmiernie rzadko mówią o swoich zajęciach biurowych — po za biurem. Znam buchalterki, kassyerki, korrespondentki, maszynistki, ale ani jednej nie widziałem, która byłaby specjalistką w swoim zawodzie.

„Kobiety nie wkładają nigdy duszy w swój zawód“—mówił mi raz mój znajomy doktor.

I to jest prawda; traktują one swoje zajęcia poważnie i są sumienne, pracowite, ale nie odgrywa ono w ich życiu duchowem wielkiej roli; poświęcają mu pewną ilość godzin, po za niemi starają się jak najprędzej o swoim fachu zapomnieć.

Obchodzi je właściwie zupełnie co innego. Literatura, sztuka, zbieranie grosza, stroje, kwestye społeczne, jakaś gałąź wiedzy, choćby flirt. Ogół zaś odznacza się eklektyzmem. Wszystko ich obchodzi na równi z ich fachem. Już takie są.

— Dlatego, — mówi mój doktor, wynalazki nie będą udziałem kobiet. Nie umieją, nie lubią się skupiać. Zresztą—nie przesądzajmy przyszłości, ale teraz tak jest!

— Czy można wkładać duszę w buchalterkę? — spytałem, albowiem sam buchalterki nienawidzę.

— Czemu nie? Znałem kobietę, która lubiła, uważa pan, lubiła szalenie rachować. Summowanie łocikowej kolumny cyfr sprawiała jej przyjemność i czyniła to z błyskawiczną szybkością—bez omyłki.

Kobiety obrażały się na doktora za ten zarzut braku skupienia.

Obrażały się, ale dalej hołdowały wszechstronności.

Ja jednak rozgrzeszam najzupełniej kobiety z tego braku specjalizacji.

Ludzkości oprócz światła trzeba i ciepła. Kobieta na każdym stanowisku potrafi być siostrą miłosierną. Nie wynajdzie nowej maszyny, nie posunie naprzód techniki, rzadko kiedy rzuci nowy promień wiedzy. Cóż ztąd? Ona to pogłębia i rozwija nasze życie uczuciowe.

Gdyby jeszcze posiadały mężką twórczość, o ileżby nas przewyższyła!

Różni oponenci równouprawnienia kobiet wiedzą o tem bardzo dobrze.

Mężczyźni, kobiety—wszyscy jesteśmy ludźmi i powinniśmy sobie nawzajem pomagać i podtrzymywać się w życiu.

Taki jest mój pogląd na kwestyę kobiecą i na nim kończę moje szkice, skoro Pani za dni kilka wraca do Warszawy.

Jan Iks.



Najpierwsza emancypantka.



Słusznie mówi przysłowie, ów rozum ludu, co się skryształił, że „*nihil novi sub sol.*“ Rzeczywiście; trudno, bardzo trudno pod słońcem o coś nowego. Systematy filozoficzne, ideały społeczne i doktryny, badane przez mijające po sobie pokolenia, także nie posiadają określonego wieku i nigdy się nie starzeją, nigdy nie tracą nowości. Są one, jak bardzo trafnie ktoś zauważył, jako kapryśne klawisze, poruszane biegłą dłonią, mają właściwość odzywiania się w rozmaitych epokach historycznych; brzmia dłużej lub krócej, głośniej lub ciszej, przebrzmiewają aż do zapomnienia, ale każdy z tonów uciszonych może się odezwać i odzywa się zwykle w najmniej spodziewanej chwili z siłą potężną, wprost niepojętą. Takie przebudzenie uspionego, a raczej pogrążonego w sen letargiczny dźwięku, witane jest zwykle, jako nowość przez współczesnych, gdy tymczasem jest to jedynie powtórzenie dawno słyszanego tonu.

Otóż—i kwestya emancypacji kobiety, jej równouprawnienia z mężczyzną, jest stara, jak świat, ponieważ poczęła się, jak głoszą talmudyczne legendy hebrajskie i podania perskie, w raju, z chwilą stworzenia i osiedlenia się tam pierwszej pary ludzkiej.

Jak głosi tradycja talmudyczna i starożytne księgi Persów, Adam chciał ucisnąć towarzyszkę swą i małżonkę, nie Ewę, ale Lilith, stworzoną jednocześnie z mężczyzną i w taki sam zupełnie sposób.

Bóg ożywił technieniem swem proch ziemski i powstała z niego para pierwszych ludzi.

Gdy mąż, z biegiem czasu zaczął dowodzić Lilith, że on jest jedynym panem i władcą, że musi służyć bezwzględnie jego rozkazów, proto-męczennica niepodległości i godności kobiecego ducha zaprotestowała, dowodząc równości swo-

jej, gdy zaś Adam na równość przystać nie chciał, Lilith obraziła się i uciekła z raju.

Według innego wariantu Adam wypędził nieposłuszną małżonkę ze wspólnego przybytku i drogi ich rozłączone nigdy się już nie zeszyły, a przeznaczona przez Stwórcę na pierwszą matkę Lilith, zmuszona była ustąpić tak zaszczytnego miejsca Ewie.

Po wygnaniu małżonki, Adam pozostał samotny i począł tęsknić za krnąbrną, lecz cudownie piękną, długowłosą Lilith. Wzruszony skargami pierwszego człowieka Bóg, posłał za krążącą w pustych przestworzach kobietą aniołów, aby ci namówili ją do powrotu i pogodzenia się z małżonkiem.

Ale pierwsza kobieta była usposobienia wyniosłego i odpowiedziała aniołom, że woli raczej nigdy nie wrócić do raju, jeśli tam przeznaczono jej być służebnicą mężczyzny. Gdy aniołowie przynieśli tę odpowiedź, Bóg się rozgniewał i posłał tych samych aniołów jeszcze raz, zapowiadając Lilith, że jeśli nie zechce wrócić do raju, On wybuchnie straszliwym gniewem. Mimo to, nie uległa Lilith rozkazom. Bóg stworzył wtedy Adamowi Ewę, która została matką rodzaju ludzkiego. Po stworzeniu Ewy w Lilith obudziło się uczucie zazdrości i poczęła ona się skarżyć na Boga i na mężczyznę, żalując straconej raz na zawsze przeszłości. Wtedy krążący zawsze w powietrzu duch złego Samiel zaproponował jej małżeństwo. Lilith się zgodziła i została matką rodu szatanów. Ona to zgubiła potem opanowanych piekielną żądzą zemsty pierwszych ludzi.

Przybrawszy postać węża przekradła się do raju i skusiła Ewę do grzechu przez pożądanie owocu z drzewa dobrego i złego. Kiedy podmówiona przez Lilith Ewa podała owoc Adamowi, a ten go spożył, oboje stali się winnymi i oboje byli wygnani z raju.

Zemście obmyślonej przez Lilith stało się za-dość!

Tyle głoszą legendy o mitycznej Lilith, pierwszej emancypantce. Jej słowa dziwnie podobne są do frazesów, jakimi się posilkują ludzie postępowi, którzyby pragnęli widzieć pleć słabszą, jako równouprawnioną pod każdym względem, wszystko zaś, co mówią konserwatyści, podobne jest do słów, jakimi Adam gromił zuchwałą małżonkę.

Przytoczone tutaj legendy, są śladem, że już w epoce ich formowania się, t. j. w pierwszych wiekach historycznego istnienia człowieka, brutalność mężczyzny i naturalne dążenie kobiety do wyzwolenia się z pod jego przemocy, wnosiły rozstrój i nieszczęście w głąb stosunków rodzinnych, burząc niejednokrotnie spokój społeczeństw, i że Lilith wyprzedziła epokę, którą mogła ją zrozumieć i sympatyzować z jej pojęciami o całe dziesiątki wieków.

Ign. Zieliński.



Kaprys Nerona.



(Dokończenie).

Biedny Markus!... upajał się temi słowy. Jako? to Klaudia tak przemawia, z tym wdziękiem pełnym wzruszenia!... O gdyby mógł, nie stając się śmieśznią, klęknąć u nóg tego umiłowanego dziecka! w okręgu wypowiedzieć jej upojenie, w jakie go wprawia, wyznać jej tę miłość, która się w nim poczęła z chwilą, gdy ją ujrzał zemdloną w objęciach Syxłusa Pompejusza!

Lecz oprzytomniał prędko i zrozumiał, jakiem niebezpieczeństwem grozi mu to tak niespodziewane szczęście; chwila zapomnienia, a całą mozolnie przebytą już drogę musiałby przebywać na nowo.

Opanował się, i odnajdując zwykłą sobie

krw zimną, rzekł bardzo poważnie, bardzo tkliwie, jak brat o wiele starszy:

— Choćby mi Klaudia sprawiła kiedy przykrość, byłaby ona sownie wynagrodzoną szczęściem, jakie mi daje w tej chwili błogosławionej! Biedne dziecię! sądziłaś, że jesteś okrutną wówczas, gdyś była tylko bardzo ludzką, a przedewszystkiem bardzo kobiecą!... Czyż mogłaś wyobrażać sobie bez wstępu młodość swoją i piękność związane z moim kalectwem? Byłoby to nadludzkim wysiłkiem, gdybyś nie miała żalu do mnie za prawa, które mi dali nad tobą kapłani służący twoim bogom. Lecz wiedz o tem, dziecię, ci kapłani, jak i ich bogowie, nie są nimi dla mnie, ciebie zaś, biedna ofiary, uważam za święty depozyt, udzielony mi przez mojego Boga, który jest Bogiem powszechnym!

Może nadejdzie dzień, w którym będę mógł oddać cię Temu, do którego legalnie należę będziesz z własnej swojej woli i z wyboru serca; wtedy połączysz się z Nim we wspólnej wierze, we wspólnych nadziejach; ta tylko wspólność czyni małżeństwo świętem... Lecz zostawmy tę przyszłość niepewną, Klaudio, a teraz pozwól mi jeszcze wypowiedzieć, jakim balsamem były słodkie twoje słowa dla mojego smutku. Zaklinam cię nie zamykaj znów tego serca, w którego wnętrzu dojrzałem takie skarby! Niechaj przyjaźń, to uczucie wytworne wsiąka w nie powoli! Życie w tym domu będzie wówczas mniej przykre. A teraz, dodał z pospiechem, czując, że go ogarnia nowe wzruszenie, — czy zechcesz spędzić na tarrasie resztę tego pięknego wieczoru?...

Wstępując za Markusem po stopniach, prowadzących na wierzchołek domu, Klaudia zastanawiała się nad tem, jak słodko jest być dobrą i jak niemądrze jest pozbawiać się tak łatwego szczęścia!...

Myślała też o tej innej przyszłości, którą jej Markus przedstawiał, jako możliwą... i wielki niepokój owładnął jej duszą.

Nowa epoka rozpoczęła się w życiu Markusa Stampy i słodkiej Klaudii. Od tej chwili dziewczę nie unikało obecności Markusa i z każdym dniem zespałało się bardziej z życiem jego.

Kilku przyjaciół dopuszczali do swojej zażyłości. Klaudia bywała obecna przy dysputach, jakie prowadzili często o różnych punktach nowej nauki. To, co słyszała zdumiewało ją i zachwycało. Markus natchniony obecnością milczącej tej, którą uwielbiał, przemawiał porywająco, a Klaudia słuchała go ze zdumieniem.

Pod wpływem tych rozmów, rozmyślania młodej Rzymianki obracały się w około tej religii, która po każdym ciosie, mającym ją zmiażdżyć, podnosiła się bardziej tryumfująca!...

Stało się w niej wielkie przeobrażenie.

Strój jej, zawsze równie wyszukany, jak należało się dziewczycy wielkiego rodu i fortuny, pozbył się wszelkiej kokieterii. Piękność jej przybrała również charakter zupełnie odmienny. Spojrzenie stało się głębszem i cieplejszem.

Zewnętrzne te oznaki przesywały duszę Markusa niepokojem moralnym; sądził że Klaudia cierpi i wyrzucał sobie te jej cierpienia.

Widok tej bladej, pięknej twarzy stał mu się tak bolesny, że zdawało mu się pragnąć gorąco chwili, w której by jakie niespodziewane zdarzenie pozwoliło mu oddalić ją od siebie, chwilę dla oddania jej w ręce małżonka przez serce jej wybranego...

I zjawiała się oczekiwana sposobność... Sprowadził ją nadmiar zbrodni Nerona, którego okrucieństwo nie miało granic. Wygnany przez lud wzburzony, uciekający Cezar sam położył kres życiu swemu — a świat odetchnął.

Lecz pokój nie miał się jeszcze ustalić

w wielkiem mieście — odbywał się w niem przełom, z którego miała wyjść z chwałą nowa wiara.

Po Neronie nastąpił Galba, i to krótkie lecz tragiczne panowanie pełne było repressyi wojen domowych, które powstawały we wszystkich punktach cesarstwa rzymskiego.

Markus pojął, że podczas tych wojen wewnętrznych, — z których wypływał spokój dla chrześcian, — można będzie uchwycić sposobność, by rozwiązać pozornie więzy, łączące go z Klaudją.

Ze zwykłą sobie dzielnością duszy, postanowił działać bez zwłoki. Czyż wszystko nie było lżejsze do zniesienia, niż walka, którą staczał bezustannie z sobą samym?

Zażądał więc posłuchania od Sykstusa Pompejusza prosząc, by Klaudia była mu też obecna.

Gdy go wprowadzono do wielkiej sali przybranej wspaniale, wzrok jego pociągany bezwiednie, spoczął na młodej dziewczycy, która siedząc na niskiej sofie, wsparła głowę na ramieniu ojca. Jarzące światło spływające z góry, otaczało aureolą jej rysy przesłone i uwydatniało bardziej jeszcze bladłość jej twarzy. Uderzyła go dziwna obawa, jaką wyrażały jej oczy piękne, zwrócone ku niemu z niemym pytaniem.

Odwaga Markusa osłabła, lecz zapanował nad sobą i zdobywając się na pozorny spokój, zdołał odezwać się w te słowa:

— Pozdrawiam cię, szlachetny Sykstusie, pozdrowienie moje i ku tobie sięga, Klaudio.

— Niechaj łaska bogów spocznie na domu twoim, Markusie Stampo! Czy serce moje ojcowskie nie ma powodu obawiać się rozmowy, która ma nastąpić?

— Przeciwnie, twoje serce ojcowskie, o Sykstusie Pompejuszu, powinno się owszem radować, gdyż przynoszę wolność twej córki!...

Okrzyk przytłumiony dał się słyszeć!...

Jednocześnie wyraz niewypowiedzianego szczęścia wystąpił na twarz Sykstusa; rysy Klaudii pokryły się białością równą liljom, zdobiącym jej tunikę; powieki jej drgać zaczęły.

Markus mówił dalej z przybrany chłodem:

— Słuchaj, Sykstusie, i ty również Klaudio, gdyż chodzi tu o rzecz ważną. Rzym jest oddany na pastwę wojny domowej. Cały zajęty rabunkiem, nie pamięta już o człowieku upośledzonym, którego w chwili okrucieństwa, szalencie ukoronowany połączył z piękną Klaudją. Dzisiaj o Markusie Stampie zapomnieli wszyscy, a on, pozostając w cieniu wśród swoich marzeń, rozmyślał nad sposobami rozwiązania tego niesprawiedliwego związku.

Syktus Pompejusz powstał żywo i wyciągając ku niemu obie ręce zawołał:

— Uczyniłyś to, ty, Markusie Stampo? Ach! serce twoje jest wielkie, i od każdego z pośród najszlachetniejszych, należy ci się szacunek!...

Wobec tej radości tak naiwnej egoistycznej, karzeł spuścił głowę, ukrywając bezgraniczną boleść, malującą się w jego oczach.

— Pochwały twoje nie są zasłużone, Sykstusie Pompejuszu. Spełniam tylko obowiązek. Dotrzymuję tylko przyrzeczenia.

— Przyrzeczenia?

— Tak, przyrzeczenia. Czyż nie napisałem: zrobię wszystko, co jest w ludzkiej mocy, by złagodzić cierpienia Klaudii?

Szlachetny Rzymianin nie zauważywszy nawet ponurej goryczy, jaką zdradzał głos Markusa, odezwał się z zapalem:

— Powtarzam: szlachetność twoja jest wielką, mój synu, to też z głębi serca dziękuję ci za nią... Twoja bezinteresowność, — mówił dalej, — zwraca dziecko ojcu, bogom; oddaje ją również młodemu patrycyuszowi, który obdarzy ją rozkoszami małżonki i matki!.. Tobie synu, zawdzięczać będziemy to szczęście!

Na te słowa „małżonki“ i „matki“ Markus

zachwiał się! Rzeczywiście ten ojciec zaślepiony egoistyczną radością, nie zdawał sobie sprawy z mimowolnego okrucieństwa, jakie się w słowach jego mieściło. Niezawodnie uznawał, że ten karzeł postępował z delikatnością, w jakiej mało ludzi by mu dorównało, — nawet z pośród ludzi szlachetnie urodzonych. Sądził, że Markus zrozumiał z rzadką inteligencją, nieproporcjonalność tego związku i nie chciał korzystać ze szczęścia, które spadło nań tak niespodziewanie... Wzamięn miał na zawsze zapewnioną wdzięczność Pompejuszów! Lecz czyż nie było naturalnem, że Syktus patrząc na to ciało upośledzone, nie podejrzewał huraganu boleści, który miotał tą duszą męzką?

Po chwili milczenia, Syktus Pompejusz ciągnął dalej:

— Jakie są twoje zamiary?

— Udam się w podróż, nauka której służę ma dużo adeptów, lecz musi być jeszcze rozszerzona w setkach miejsc, by świat cały został nią ośniony. Pójdę przed siebie i będę nauczał Ewangelii. Teraz i przez kilka dni następnych da się słyszeć słaby odgłos mojego zniknięcia. Lecz potem będą przypuszczali, że zostałem pojmany w jakim schronieniu chrześcijan. I wszystko się skończy i córka twoja będzie wolna!...

Głos Markusa stał się ochrypliwy, zdławiony wzruszeniem. — Klaudia siedziała nieporuszona.

Syktus Pompejusz zwrócił się ku niej z żywym wyrzutem:

— Dziecko moje, czy nie uznajesz, żeś winna podziękować temu szlachetnemu człowiekowi?

Na to wezwanie dziewczica odsłoniła ukrytą w dłoniach twarz: zalana była łzami. Wyrzekła te słowa tylko:

— Dziś wieczór, gdy zmrok nad miastem zapadnie, Klaudia przedstawi Markusowi swoje postanowienie. Niechaj jej wyświadczy łaskę i zatrzyma się do tego czasu.

I tego wieczoru, gdy ciemności miasto pokryły, Klaudia z płonącymi oczyma w bezkrwistej twarzy, owinięta długą, ciemną zasłoną, z głową okrytą kapturem, wysunęła się cicho z domu!...

Szła prędko, biegła prawie pod murami. Gdy hałas niespodzianie o uszy jej się obił, stawała nagle, szukając wzrokiem jakiego zagłębienia ciemnego, w którym by się mogła ukryć. Serce jej biło mocno. Długo szła w ten sposób, wybierając ulice mniej uczęszczane. Gdy minęła cyrki, znalazła się na pustej wsi: ciągnęły się daleko pola i drogi!... Zatrzymała się niepewna, drżąc; nie, nigdy się nie zdoła na podobną odwagę!... Nagle, puściła się w dalszą drogę, przebiegła te puste pola, te odległe drogi!... Lecz jakież to wszechwładne uczucie wiodło młodą patrycyuszkę? Kto ją pchał samą, bez służby, bez opieki, w nocy, przez wieś, gdzie się włóczył złoczyńcy i awanturnicy?

Szła, szła ciągle. Nareszcie ręka jej napotkała mur. Przyspieszyła jeszcze kroku. Nagle pojawiło się wielkie przejście, w którym po przez gęsty zmrok przebijały się pozasłaniane latarki, których światła migotały przed wzrokiem dziewczeczki.

Klaudia odgadła, że są to katakumby — bez wahanias skierowała się tam. Uszedłszy setkę kroków znalazła się wśród powikłanych galeryj o płaskich sklepieniach. Nizkie i wąskie galerye te rozszerzały się miejscami i przedstawiały jakby obszerne pokoje.

Klaudia w pochodzie swoim kierowała się światelkami latarni, które zdawały się uciekać przed nią.

Wreszcie doszedł ją szmer głosów. Usłyszała śpiew rytmiczny psalmu, i ogromna radość napełniła jej duszę. Postępując dalej, doszła do obszernego wgłębienia. Tam, przy świetle pochodni, ujrzała tysiące klęczących ludzi, kornie pochylonych, bijących się w piersi, wyznających swe winy i głoszących swą wiarę. Byli

tam mężczyźni, kobiety, a nawet i dzieci, które wzywały Imienia Jezusa!

Klaudia szukała między temi postaciami kłęczącymi, postaci człowieka, o którym wiedziała, że musi się tu znajdować. Postać jego ułomną, kalekę, prędko rozpoznała a wtedy serce dziewczyny silniej bić zaczęło... Przyglądała się tej szlachetnej, zbolącej twarzy; potem oczy jej pobiegły za wzrokiem uważnym i jakby promiennym i spoczęły również na wgłębieniu utworzonym w skale.

Stał tam starzec o powierzchowności budzącej poszanowanie i Klaudia poznała w nim apostoła Piotra. Udzielał błogosławieństwa i każdy chciwy świętej pomocy, pochylał głowę; potem zaczął przemawiać i Klaudia całą duszą oddała się światłemu nauczaniu. Słuchała tego głosu ojcowskiego, który nie lajał, nie groził, lecz mówił:

— Niechaj pokój będzie z wami.

— Kochajcie się, bo gdzie niema miłości, tam też niema i Boga.

Zalecał też umiłowanie cnoty, ubóstwa i cierpienia, gdyż to są drogi prowadzące do życia wiecznego. Tyle było świętości w tych naukach, że każdy słuchając ich, czuł się uniesionym. Klaudia posłyszała te słowa:

— Piotrze ochrzczij nas! Piotrze ochrzczij nas!

I apostoł wziął naczynie kamienne napełnione wodą i pokropił nią pochylone głowy.

Nagle, wielkie światło zalało duszę młodej patrycyuszki. Dzieło nawrócenia od tak dawna rozpoczęte—spełniło się; wiara święta przejęła jej duszę. Przypadła do nóg apostoła i gdy odrzuciła zasłonę, okazała się jej twarz promieniejąca.

Głuchy okrzyk rozbrzmiał pod sklepieniem donośnym.

A Klaudia kłęcząc, mówiła:

— Widziałam, wierzę!...

A Piotr czerpiąc wodę z naczynia, złożył drżącą rękę na głowie, którą wzruszenie ku ziemi chyliło:

— Chrzcę cię w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego!

Gdy Klaudia przeistoczona powstała, ujrzała przy boku swoim Markusa Stampę. Łzy spływały po twarzy karła: nadludzka radość błyszczała w jego oczach; ręce jego były złożone.

Klaudia odezwała się:

— Mówiłam ci Markusie, że w chwili gdy ciemności zalegną, powiadomię cię o swoim postanowieniu. Oto jest postanowienie moje; Twój Bóg jest moim Bogiem, a ja należę do ciebie, widzę teraz w tobie tylko duszę twoją, a ta dusza przeszła pięknością wszystkie inne. Nie odpędzaj mnie Markusie!

Markus uniesiony szczęściem nie mógł mu prawie wierzyć. Wzrokiem błagał apostoła i Piotr wyciągnął obie ręce po nad ich głowy wymawiając te słowa:

— Bądźcie małżonkami; bądźcie szczęśliwi, bo miłość wasza jest cnota.

Tłóm. z francuzkiego

M. K.



Zobcej niwy.

(Najnowsza beletrystyka francuzka).



Leży przede mną na biurku stos żółto oprawnych tomów, przeczytanych sumiennie i przygotowanych do złożenia w dobrze zasłużony stan spoczynku, gdzieś w głębi szafy z książkami.

Zwykły los książek „przeciętnych,” tych narzędzi do zabijania czasu, do chwilowej rozrywki, zajęcia umysłu w momentach, gdy nic lepszego niema do roboty.

Im społeczeństwo bogatsze, im więcej czasu i pieniędzy poświęcać może na rozrywki,

tem więcej w jego literaturze dzieł przeciętnych, które czyta się raz jeden i do których nie powraca się nigdy. To też nie dziwnego, że powieściopisarstwo francuzkie stało się pod tym względem typowym. Francuzka powieść, mająca w swej ojczyźnie zbyt ogromny, jest przytem towarem międzynarodowym, poszukiwanym wszędzie, po wszystkich krańcach świata. Czytający ogół, to moloch, żądny coraz to świeżej strawy, domagający się jej z gorączkową pożądlivością, mniejsza o to jakiej, byle świeżej.

To też dostawców nie brak, to też przymysł artystyczny — w powieściopisarstwie — rozwija się coraz bujniej i obficie. To też nie dziwnego, że w całym stosie żółto-oprawnych tomów, leżącym w tej chwili przede mną, niema ani jednego wybitnego dzieła, któreby przetrwało lat parę, nie mówiąc już o dłuższych terminach. Wszystko to są przeciętności, efemerydy, ginące tak szybko, jak powstały.

A jednak pisać o nich trzeba, choćby dlatego, aby nie mogącym zorientować się w chaosie nowości czytelnikom, dać informacje i wskazówki, a w ogóle dać obraz dzisiejszej przeciętnej literatury powieściowej francuzkiej.

Zacznijmy więc od książki, podpisanej najgłośniejszą firmą, a więc od najnowszej powieści Bourget'a „Le Divorce“ („Rozwód“).

Widzę już, czuję zdziwione, oburzone i nieufne spojrzenia, słyszę okrzyki, pełne indagacyi i zgorszenia:

— Co?! Bourget wśród przeciętnych?! Bourget, — ten głęboki, subtelny, smutny, potężny, czujący tak silnie i szczerze?! Bourget, ten psycholog genialny i wielki artysta?

Chwilkę spokoju. Nie irytujmy się.

Mam co prawda pewne wątpliwości, co do owej głębi, potęgi, subtelności Bourget'a, co do owego smutku tego popularnego i cenionego u nas pisarza (Renan nazwał go *cochon triste*). Mam pewne wątpliwości, co do jego genialności jako psychologa (i w ogóle także) i co do wielkości jego artysty. Nawet owego Bourget'a z czasów „Mensonges“ (jego najlepszej powieści) i „Disciple'a.“ Nie lubię tej *psychologie pataude*, nie lubię tego parweniuszowskiego snobizmu. Nie wierzę w szczerść tych tez i przekonań. Nie cierpię tej kupczykowskiej pseudo-elegancyi, tych głębokich studyów nad formami życia wielkiego (*ohé*) świata, które sprawiają, że — jak twierdzi pewien złośliwy krytyk — *les romans de Mr. Bourget font autorité dans l'Amerique du Sud pour tout ce qui touche aux élégances de bouton de la vie parisienne*. Nie lubię Bourgeta.

Po za tem wszystkiem jednak uznaję jego talent powieściopisarski, z dni dawniejszych. Dawał on czasem nawet złudzenie istotnej sztuki, istotnego artysty. Ale Bourget dzisiejszy, to nie ten dawny Bourget. A raczej ten sam, ale tak zmanierowany, powtarzający sam siebie (w technice, stylu, metodzie, typach i t. d.), tak wyczerpany, zmięty, zmęczony, że faktycznie nad poziom przeciętności nie wznosi się w niczem. Może chwilami zająć, zaciekawić, ale po przeczytaniu książka jego nie zostawia żadnego śladu, żadnego nowego wrażenia, żadnej nowej myśli, — jest „przeciętna.“

Jak już tytuł jego ostatniej powieści wskazuje, Bourget chciał dać i dał rzecz tendencyjną, zwróconą przeciw rozwodom, a raczej przeciw ułatwiającym rozwody ustawom francuzkim, które potępia i zwalcza. Kończy powieść swoją rozdziałem, zatytułowanym bardzo efektownie: „Le Prison“ („Więzienie“), a rozdział ten kończy bardzo długim i bardzo zmuszonym skonstruowanym zdaniem:

„Matka Lucyana i Joanny czuła się niewolnicą swego rozwodu, — wedle głębokich słów księdza, — i przeklinała raz jeszcze te zbrodnicze ustawy, których pokusom uległa

w swej kobiecej słabości, — te ustawy zabójcze dla życia rodzinnego i życia religijnego, — te ustawy anarchii i bezładu, ustawy, które przyrzekały jej swobodę i szczęście, a dały — tak samo, jak tylu innym, — li tylko niewolę i nędzę.“

Bardzo pięknie i bardzo wzruszająco, — aczkolwiek gdzieś w głębi duszy powstaje pytanie, jakim cudem jedne i te same ustawy równocześnie mogą się stać źródłem *niewoli* i źródłem *anarchii*, dwóch objawów absolutnie wykluczających się nawzajem.

Ale mniejsza o to. Teza, choćby najlepsza, najprawdziwsza, najszlachetniejsza, nie starczy — sama w sobie — by powieści dać wartość i znaczenie. Autor musi siłą swego talentu i stworzonych przez siebie sytuacji, przekonać, że tak a nie inaczej jest w istocie, — musi tezę i dzieło swe złączyć w organiczną całość, jak każdy organizm nienagannie logiczny. W tym wypadku musi dowieść i przekonać, że owe ustawy rozwodowe są istotnie źródłem „niewoli i nędzy,“ nieszczęście, anarchii i upadku. A to się Bourget'owi nie udało. Nie ustawy rozwodowe, ale charaktery, usposobienia, dusze bohaterów jego są przyczyną katastrofy, „niewoli i nędzy.“ Inni ludzie w tych samych warunkach, mimo wszelkie paragrafy, byłiby idealnie szczęśliwi.

Mąż pani Gabryeli, był alkohikiem, bił ją i znęcał się nad nią. Więc urodziwszy mu syna rozwiodła się z nim i wyszła w drugim małżeństwie za idealnie szlachetnego, mądrego inżyniera, ateusza, pana Darras. Wzięła jednak ze sobą syna z pierwszego małżeństwa Lucyana, a pan inżynier zajął się wychowaniem tego chłopca i kształcił go wedle swych własnych ideałów, a więc na ateusza również. Pani Gabryela wychowywała tymczasem córkę z drugiego małżeństwa Joannę i kształciła ją, znowu wedle swoich ideałów, a więc religijnie. Podział pracy był zatem znakomity i wszystko szło doskonale, aż do chwili, w której Joanna przystąpić miała do pierwszej Komunii.

Gabryella chciała przystąpić do Komunii razem z córką, ale gdy przyszła do spowiedzi, żaden ksiądz nie chciał dać jej rozgrzeszenia. I odtąd rozpoczyna się w duszy Gabryeli walka i męczarnia, proces psychologiczny, głęboki i subtelny, któryby dawny Bourget dał znakomicie, a który obecny Bourget robi wedle swych własnych dawnych wzorów, dosyć zgrabnie i ciekawie, ale nie porywa i nie wzrusza. Jest coś sztucznego i efekciarskiego w tych rozmyślaniach Gabryeli i jej psychicznych drgnieniach, niema tej szczerzej potęgi uczucia, która porywa i wzrusza. A temat wspaniały i szkoda, że nie wyzyskany tak, jakby to można było zrobić.

Syn Gabryeli z pierwszego małżeństwa, Lucyan zakochał się w studentce medycyny, czynnej propagatorce wolnej miłości (*ah, le vieu jeu!*) matce nieślubnego dziecka i mimo opozycyi swej matki i swego ojczyma koniecznie chce się z nią ożenić.

Tymczasem umiera pierwszy mąż Gabryeli, ów stary alkoholik, który ją bił i maltretował, — umiera, umożliwiając tem kościelne jej małżeństwo z drugim „cywilnym“ mężem. Gabryella domaga się kościelnego ślubu, ale Darras odmawia stanowczo:

— I pocóż mam brać ślub kościelny, skoro wobec prawa jestem już twoim mężem. Cywilny ślub nam wystarczy.

Pani Darras opuszcza dom swego „cywilnego“ męża biorąc córkę ze sobą. Ale wnet musi powrócić, ponieważ cywilny mąż grozi jej, że z pomocą policji odbierze swe dziecko i nie dopuści go do pierwszej Komunii. Gabryella wraca do swego „więzienia“ i wtedy wypowiada przytoczone wyżej końcowe zdanie powieści.

W ogóle powieść Bourgeta przeczytać warto. Są mniej ciekawe ustępy, całość napisana jest zręcznie, ale darmo by w niej szukać Bour-

geta z pierwszej epoki twórczości, zresztą maniera jego (a zawsze jedna i ta sama) postarzała się już nieco i *à la longue* nuży i nudzi.

Najpiękniejsza tendencja nie robi arcydzieła z powieści, napisanej rutyną wytrawnego robotnika literackiego, a nie mającej w sobie szerokiego lotu i rozmachu wielkiego artysty i głębokiego, szczerzego uczucia. A wprost komiczne wrażenie robi przybranie w tendencję, jakby w pawie piórka, roboty słabej, mającej li tylko zaletę pewnej buńczuczności i zuchwałej fantazyi, oraz ciekawie podpatrzonego środowiska, w którym się akcja rozgrywa. Mówiąc to, mam na myśli powieść p. Anny de Bovet: „Autour de l'etendart.“ Znam dawniejsze powieści pani de Bovet z czasów, gdy nie używała jeszcze szlacheckiej partykuły i była sobie po prostu panią Bovet. Od tego czasu wyszła ona za mąż za francuzkiego markiza zamieszkałego w Galicyi, a stawszy się margrabiną i szlachecianką po mężu, uważała widocznie za konieczne nobilitować także i swe panięskie nazwisko.

Przypominam sobie w szczególności powieść p. Bovet (jeszcze wtedy nie *de Bovet*) „La maitresse royale.“ Była to pewnym zapaszkim paszkwilem otoczona historia na tle galicyjskich stosunków, dziejąca się w jakimś nieistniejącym na żadnej mapie, fantastycznym kraju słowiańskim. Było w niej sporo fotograficznie ścisłych karykatur znanych osobistości, było sporo pornografii, dużo dowcipu, finezyi, był pewien rozmach, i była pewna subtelność obserwacji i psychologicznego pogłębienia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Okrzyż.

bowanych, Roboty mogą być koronczarskie, związane, wykonane szydełkiem, widełkami, drutami, szydłem i t. p. Łączyć powinny: oryginalność pomysłu, smak, praktyczność w zastosowaniu i łatwość wykonania.

Materyały do robót konkursowych potrzebne, otrzymuje się w magazynach firmy, rozrzuconych po całej Saksonii, na żądanie próby wysyłane są gratis.

Za najlepszą robotę wyznaczona jest nagroda w summie 200-u marek. Następnie są: Dwie nagrody po 100 mar., cztery po 50 m., dwadzieścia po 30 m., trzydzieści po 29 m.

Firma zastrzega sobie prawo reprodukowania nagrodzonych robót, które bezspornie przechodzą na jej własność. Ogłoszenie nagród podane będzie przez pisma do publicznej wiadomości.

Z. S.

Kroniczka.

— Grono osób dobrej woli i czynu podjęło myśl otwarcia domu pracy na Woli dla dziewcząt małoletnich, gdzieby je kształcono na służące, kucharki, pokojówki, praczki i t. d. Zajęcia praktyczne trwałyby od 8-go z rana do 6-ej po południu nadto dwie godziny tygodniowo poświęcone by były nauce religii, czytania i pisania. Projekt powinien zdobyć jak najszersze poparcie i zastosowanie.

— Dnia 16-go b. m. nastąpiło poświęcenie i otwarcie nowej ochrony W. T. D. pod wezwaniem św. Karola Boromeusza przy ulicy Elektoalnej № 25. Ochrona posiada już 50 dzieci. Główną protektorką ochrony jest hr. Ordynatowa Krasieńska, opiekunką przesowa Jadwiga Makowiecka, opiekunem St. Moczydłowski i dozorczynią p. Bronisława Miecznikowska. Wobec potrzeb naszego miasta każda nowa, podobna instytucja jest pożądana i witana z radością.

— W zborze ewangelicko-augsburskim, przy Komitecie pań opiekunek nad ubogimi, utworzony został nowy oddział specjalnej opieki nad dziećmi, którego zadaniem będzie piecza moralna i pomoc materyalna, otwieranie dla nich żłobków, szkółek, sal zajęć i t. p. Na czele oddziału stoją panie: Natalia Scholtze, Amelia Temler, Halina Henneberg.

— W Warszawie powstała nowa Kassa na wypadek choroby. Zadaniem jej jest udzielanie zapomogi materyjalnej i porady lekarskiej. Organizacją swą jest zbliżona do typu kas posagowych i pogrzebowych; składa się z trzech grup członków po tysiąc (1,000) osób każda. Nowo-zapisani członkowie winni są złożyć metrykę, świadectwo lekarskie o stanie zdrowia, zapomogi wydawane w summie 20 rubli na dni 10, t. j. licząc każdy dzień po 2 rub. Członkowie wnoszą 1 rubla wpisowego i 20 kop. w ciągu dni trzech w razie choroby jednego z członków. Inicytatorami Kassy są pp. Bolesław Szkopowski i adwokat przysięgły Stanisław Hryniewicz, do których zwracać się należy po bliższe informacje w biurze zarządu Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego przy ulicy Miodowej № 3.

— Jeden z bieżących numerów „Gazety Polskiej“ zamieścił wiadomość znamieną i pouczającą o „Związku ludowym ku zwalczaniu nieobyczajności w słowie i piśmie.“ W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca odbyło się pierwsze walne posiedzenie tegoż Związku w Berlinie, pod przewodnictwem Ottona Leixnera, autora i popularyzatora historii w podręcznikach. Na posiedzeniu doszli do bardzo smutnych wniosków, że młodzież niemiecka w wieku lat od 12—15 rozechwytuje książki treści pornograficznej, także obrazki i pocztówki. Wygłoszono szereg odczytów, z których przemówienie d-ra med. Marcinowskiego i d-ra Pfeiderera „O dobrych obyczajach i szczęściu ludu“ zasłużyły najbardziej na wyróżnienie. W konkluzji przyjęto za zasadę, iż środkiem do poprawy obyczajów jest gimnastyka, ćwiczenie ciała, sport, oraz godziwe obcowanie młodzieży płci obojej, nadto wpajanie poczucia samodzielnności, dążenia do celów szlachetnych i doskonałych, któreby wpływało na rozwój etyczny. Podobne związki istnieją już dotychczas rozgałęzione w wielu miastach niemieckich.

— Całkowite święcenie Niedzieli uzyskali dotychczas pracownicy rzeźnicy, massarnie, składów mącznych i c. ę-

ściowo drukarze, uwolnieni od składania rannych dodatków po-świętecznych. Zapewne rozszerzy się to na wszystkie stany i zawody.

— Dnia 19-go b. m. „Goniec warszawski“ przeszedł na własność i pod kierownictwo hr. ordynata M. Zamoyskiego, inż. Maryana Lutosławskiego i artysty-malarza Eligiusza Niewiadomskiego.

— Na prowincyi powstaje kilka szkół zawodowych, prowadzonych przez kobiety, na które uzyskały już odnośne pozwolenie następujące osoby: p. Prószyńska na otwarcie handlowej żeńskiej szkoły w Olkuziu; pani Znajkiewiczowa na podobny kursa w Kielcach, p. Krzymowska na prowadzenie kursów handlowych w Będzinie.

— Towarzystwo ku zwalczaniu gry hazardowej w Poznaniu ogłosiło konkurs na utwór sceniczny o tendencji społeczno-obyczajowej, mającej wykazać zdroźność karciarstwa i gry hazardowej, jej demoralizujący wpływ na byt rodziny i społeczeństwa. W celach spopularyzowania idei, Towarzystwo wymaga, aby utwór nadawał się do przedstawień amatorskich i odpowiadał następującym warunkom: 1) Utwór powinien składać się, o ile możliwości, z trzech aktów, aby nie było potrzeby wypełniania wieczoru dodatkami, mogącemi wrażenie sztuki osłabić; 2) Akcja utworu powinna być współczesna i umiejscowiona i nie stawiać trudności co do sceneryi i ukostumowania; 3) Liczba osób działających ma, ile możliwości, nie przekraczać 10; 4) Utwór ma mieć cechę dramatyczną, a nie być przytem pozbawiony pierwiastku satyryczno-komicznego. Uwzględnione będą jedynie utwory, posiadające literacką wartość.

Sędziami konkursu są pp.: d-r K. Estreicher, d-r Koneczny, dyr. J. Kotarbiński w Krakowie, poseł Józef Kościelski i dyr. teatru Rygiel w Poznaniu. Nagrodę przyznaje Towarzystwo w kwocie 1,000 marek. Prace nagrodzone stają się własnością Towarzystwa, względem nienagrodzonych zastrzega sobie prawo pierwszeństwa w nabyciu. Prace nadsyłać należy do dnia 1-go Listopada r. b. na ręce prezesa d-ra Kapuścińskiego w Poznaniu.

— W Berlinie najwięcej kobiet członkiń liczy cech krawiecki. Na 5,541 mężczyzn, przeszło 2 tysiące kobiet.

— W Ameryce, w stanie Indyana, mieście Crawfordville zmarł *Lewis Wallace*, najgłośniejszy powieściopisar amerykański. Z powieści jego tłumaczonych na język polski poznaliśmy: „Ben-Hur'a“, cieszącego się zasłużonym rozgłosem.

ODPOWIEDZI.

— *Jednej z wielu.* — Uwagi Szan. Pani podyktowane widocznie szczerą życzliwością dla „Bluszczu“, będziemy się starali uwzględnić wedle możliwości. Dodatki z modami zapełniamy stale od wielu lat z tego samego źródła.

— *Zofii.* — Aparat Simonsa istnieje. Nabyć go można u specjalistki, mającej swój zakład masaży i upiększania twarzy, do której prosimy się zwrócić o szczegółowe objaśnienia, pod adresem: p. Jadwiga Kupściowa, Aleje Jerozolimskie № 21, m. 10. Dostać także można w perfumery Rallego w Warszawie.

— *Pani Maryi Józefie z Górki.* — Całem sercem za list dziękuję. Przepisywanie na taką odległość, — to niemożliwe. Powieść przesłaliśmy wedle zlecenia.

Treść numeru:

Wiec rodziców. — Podejrzenie, przez Jadwigę z Z. Strokowa. — Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Głińskiego. — Joan. VIII, 1—12, powieść, przez Maryę Rodziewiczównę. — Na skale zgasła gwiazda latarnika... (wiersz), przez Idę Pilecką. — Jak zapobiedz nerwowości, przez E. Żm. — Z cyklu „Modlitwy“ (wiersz), przez Stanisława Poraję. — Piórem i ołówkiem, przez Jana Ładę (ciąg dalszy). — Szkice z okna, przez Jana Iksa (dokończenie). — Najpierwsza emancypantka, przez Ign. Zielińskiego. — Kaprys Nerona, tłum. z franc. przez M. K. (dokończenie). — Z obcej niwy, przez Okrzyca. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 6-ty powieści „Dziennik psotnego chłopca“, w przekładzie Zofii S.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 22). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

Kronika działalności kobiecej.

— *Anglia.* W Londynie umarła w tych dniach założycielka pierwszych zakładów Froebelskich w Anglii, pani Michaelis. Przez 30 lat była niezmierną, czynną propagatorką nauki Froebela i kierowniczką instytutu wychowawczego Educational Institute w West Kensington, środowisku nauki Froebela w Anglii.

— *Hollandya.* Stowarzyszenie szlifierek dyamentów w Amsterdamie, znakomicie jest zorganizowane. Obejmuje przeszło 600 pracownic, czyli całkowitą liczbę kobiet, zajętych w szlifierniach, przez co łatwo im jest uzyskiwać zmiany warunków i podwyżkę płacy. Od 1-go Lutego r. b. obowiązująć będzie w szlifierniach nowa taryfa płacy o 25% wyższa od dotychczasowej.

— *Belgia.* Ministerjum handlu i rolnictwa otworzyło d. 14-go Stycznia r. b. praktyczną szkołę dla kobiet, sporządzania wszelkiego rodzaju kapeluszy. Kompletny kurs trwa trzy lata.

— *Berlin.* Związek uczących się kobiet w Berlinie projektuje utworzenie nowego związku dla kobiet-studentek w całym państwie. Heidelberg i Freiburg przystały na to odrazu, z Göttingen i Lipskiem układy są w toku.

— *Halla.* Z decyzji niemieckiego ministra handlu i przemysłu, obowiązującej w d. 1-go Kwietnia r. b., uczennice szkół handlowych i przemysłowych w Halli, będą na równi z uczniami męzkimi korzystały ze stypendyi państwowych.

— *Saksonia.* Znana przedsiębiorca pod firmą „Maks Hauschild w Hohensichte“, w Saksonii, ogłosiła konkurs na roboty ręczne najrozmaitszego rodzaju, wykonane z wyrobów wymienionej firmy, a więc z przeróżnych gatunków przędzy, bawełny, kordonków, włóczek, nici i t. p., bielonych, nie bielonych i far-

Cukry desserowe, Karmelki,
Owoce, Praliny, Marmolady
codziennie świeże

POLECA: *****
FABRYKA
Czekolady i Kakao

F. M. KORDZIŃSKI
Marszałkowska № 89. Filia: Nowy-Świat № 5.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

A. Czarnowskiej w Warszawie 38 Hoża 38.

Tylko przy pierwszorzędnej pracowni sukien i okryć damskich można gruntownie nauczyć się **KROJU i SZYCIA**. Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych, uczniowie otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynię i podmistrzynię.

Józef Jankowski.

ZWROTKI

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora



Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu“ nie ponoszą kosztów przesyłki.

NOWOŚĆ!

Wzory dziurkowane do haftu,

które każda z Czytelniczek naszych może posiadać zeszyt, składający się z 7-iu arkuszy i zawierający dziurkowane desenie wszystkich liter alfabetu, kilka odmian kwiatów i motyli stylizowanych, ząbki i ozdoby brzegów, całe desenie na małe serwetki, ramki stosowne na podarki i t. d. Cenę zeszytu wraz z proszkiem w dwóch kolorach (czarny na materiały jasne i jasny — na ciemne) oznaczyliśmy na kop. 50 wraz z przesyłką pocztową, (wykluczając zaliczenia pocztowe, za które pobieramy 10 kop. więcej).

Niezależnie od zeszytów, które mamy na składzie i od cen takowych, przyjmujemy również zamówienia, na które dostarczyć możemy w krótkim czasie wszelkich żądanych wzorów dziurkowanych na pasy na stół, serwetki, poduszki na kanapy, kołnierze, wyłogi, mankiety, całe suknie, monogramy, roboty point-lace i t. p. Do zamówienia dołączać należy wielkość żądanego deseni w centymetrach, jeżeli zaś idzie o suknie, lub o jej części składowe, prosimy o przysłanie formy papierowej, oraz dokładnego opisu rodzaju ozdoby i stylu (zakopiański, arabski, grecki, rococo, renaissance, gotyk, chińszczyzna, japońszczyzna, secesja i t. d., lub fantazyja).

Listy należy adresować do Administracji „Bluszczu“ Nowy Świat 41, w Warszawie.

Herman & Grossman

Warszawa,
Mazowiecka
Nr. 16.
Telefon 555.

Fortepiany, fabryk krajowych i zagranicznych
Pianina i Organy w wielkim wyborze

Petersburg
Moskwa.

SPRZEDAŻ NA ROZ-
PŁATY MIESIĘCZNIE
PO 25 RUBLI.



ANGELUS—ORCHESTRAL
PIANINA
„CROWN“—„SYMPHONY“

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW.

Cenniki ilustrow. gratis.

Zakład Ogrodniczy
Braci HOSER
w Warszawie
Jerozolimska 53.

ma zaszczyt zawiadomić, iż wyszedł z druku Cennik nasion kwiatowych, warzywnych i pastewnych oraz cebulek kwiatowych na rok 1905 i że takowy wysła się na każde żądanie bezpłatnie.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
„Z A Ł E S K I”
przeniesione z ul. Berga na ul. Mazowiecką № 3, tel. 4214; poleca: nauczycielki, nauczycieli, bony, sprowadza Francuzki z własnego biura w Paryżu.

Księgarnia J. Fisera, Nowy-Świat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo przedkij i najłatwiejszej nauki Języków Obcych, bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

- SAMUCZEK:**
- Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.
 - Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.
 - Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.
 - Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.
 - Wypisy Francuskie kop. 80.
 - Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.
 - Amerykański Przewodnik kop. 50 mały 5.
 - Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40; —kurs I-y kop. 1.40; —kurs II-gi kop. 1.80.
- Nakład autora Złota 6, Warszawa.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
JAHOŁKOWSKIEJ
Warszawa, Marszałkowska 118
poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
GRETILLAT
Ś-to Krzyżka 15.
Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Zdolna

nauczycielka robót z kilkoletnią praktyką pedagogiczną ma kilka godzin wolnych. Porozumieć się można od 11-ej do 1-ej.

Biała 3 m. 7.

Student uniw. sympatycznej polskiej kondycje u zamożnej osoby w Warszawie, w ostateczności na wyjazd. Łaskawe panie adresować racza Piękna 40-28 „Studentowi“.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz“

KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.

„Kobieta Współczesna”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszczu.“

Prenumeratorki „BLUSZCZU” płacą za powyższe dzieło
tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

Wydawca: *Piotr Laskauer*. — Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

(gigot) przy rękę bardzo obcisłe, złożone w zakładki, odpowiednie do dołu spódnicy.

№ 4. Wiosenny kostium z fałdowaną, luźną tuniką.

Materyał: kaszmir w modnym kolorze. Orziginalny, stanik składa się z długiej baskiny, tworzącej na spódnicy fałdowaną baskinę i z bluzki ułożonej w takiej fałdy, wypełnionej z przodu kamizelką z aksamitu w odrębnym tonie. Pasek z aksamitu, przyszyty do stanika pokrywa połączenie z tuniką. Szalowy kołnierz z białego sukna przeciągnięty do stanu, pokrywa haft w odpowiednim do kostumu kolorze. Kamizelkę, okrągło wyciętą w górze wypełnia napierśnik odpowiedni do kołnierza. Kamizelka przeciąga się poniżej pasa i tworzy dwie otwarte części. Rękawy bardzo szerokie, poniżej łokcia zaszyte w zakładki i zapięte na drobne guziczki.

Potrzeba: 9 mtr. kaszmiru podw. szer., 1 mtr. aksamitu, 14 guzików, 7 mtr. do oszycia kamizelki.

№ 6. Domowa suknia z materyału w paski.

Materyał: lekka wełna w tonie *beige* w nieco ciemniejsze paski. Spódnice, wykończoną bez podszewki, namarszczoną w pasie, przybiera pas taffetas w tym samym tonie, zastrzeżony w podłużne zakładki i upięty w stebnowane plisy, również z taffetas. Takież same, zmniejszone przybranie otacza karczek z gipiury *cecu* na podłożeniu z kremowej materyi, przedłużony w kształcie wazjutkiej kamizelki do samego stanu. Rękawy w górze szerokie, bufiaste, poniżej suto namarszczone na podszewce, przybrane odpowiednio do przybrania stanika. Pasek wysoki, marszczony z aksamitu panne w kolorze sukni.

Potrzeba: 6 mtr. mat. wełnianego podw. szer., 2½ i mtr. taffetas, ½ mtr. gipiury, 40 ctm. aksamitnego ukosu.

№ 7. Bluzka z krzyżowanymi fałdami.
(Kroj pierw. str. tabl. Fig. 21—30).

Bluzka fasonem odpowiednia na bluzkę z materyału lekkiego wełnianego lub z jedwabiu. Przody i plecy ułożone w fałdy skrzyżowane. Przody lekko wyrzucane. Przybranie stanowią wązkie pliseczki z odrębnego materyału i białe pasmanteryjne albo złoczone guziczki. Haftowany kołnierz podwiązany krawatką z aksamitu. Rękawy w górze szerokie, zmarszczone na szwie wewnętrznym, przy rękę przybrane pliskami i guziczkami.

№ 8. Bluzka jedwabna, przybrana koronkowym karczkiem.

Bluzka z białej lub jasnej materyi, wykonana na dopasowanej podszewce, plisowana w około i zapięta z tyłu, przestębnowana jest poprzecznie w podłużne, krótkie zakładki. Karczek z grubej gipiury obcisła górę bluzki, gipiura zakończy rękawy obcisłe do łokcia bufiaste w górze.

№ 9. Suknia zreformowana dla młodej panienki.
(Zmniejsz. forma spódnicy pierw. str. Fig. 126—129).

(Kroj stanika odw. str. Fig. 130—135).

Materyał: ciemno granatowa wełna. Spódnice przyszyta do stanika z podszewki zakończają dwie plisowane fałbanki z taffetas. Wycięty marszczony poprzecznie staniczek, przybierają: aksamit w tonie sukni, plisowane fałbanki z taffetas i metalowe guziczki,



№ 1. Skromny kostium wiosenny z bluzką. № 2. Plisowana sukienka dla dwuletniego dziecka.

(Kroj odw. str. tabl. Fig. 81—84).

Wzory ubiorów i robót do Nr. 9.

№ 1. Skromny kostium wiosenny z bluzką.

Materyał: lekkie sukienko w szarym kolorze. Spódnica, wykończona na oddzielnej podszewce, luźna, dość fałdzista, lekko przymarszczona w stanie. Bluzka, umiarkowanie namarszczona, obciągnięta na doskonale dopasowanej podszewce, przyciśnięta w górze karczkiem z białego sukna, lub kaszmiru, naszytym czarnym, albo szarym sutaszem. Patka, zakończająca karczek z przodu, spoczywa na szerokiej kontrafałdzie, przykrywającej zapięcie biuzki. Karczek zapięty na ramieniu. W około karczka i po obu stronach fałdy naszyte plisowanie z szarej mat. messaliny, podłożone nieco wysunięciem plisowaniem z białego chiffon. Rękawy w górze bardzo szerokie, od łokcia bardzo obcisłe, ułożone w fałdki. Pasek z messaliny.

Potrzeba: 6 mtr. sukienka podw. szer., ½ mtr. sukienka białego, 1½ mtr. messaliny, 1 mtr. białego chiffon, 10 mtr. sutaszu.

№ 2. Plisowana sukienka dla dwuletniego dziecka.
(Kroj odw. str. tabl. Fig. 81—84).

Sukienka z białej, albo jasnej, lekkiej wełny, cała drobno splisowana, wszyta w gładki, prosty karczek, zapięty z tyłu i wykończony na podszewce. Łatwe a strojne przybranie sukienki stanowi duży koronkowy kołnierz, wkładany oddzielnie.

№ 3. Kostium z aksamitną kamizelką.
(Kroj odw. str. tabl. Fig. 69—75).

Kostium z szaro-granatowego sukna (*draps satin*) przybierają: aksamitna kamizelka, mankiety i kołnierz w ciemniejszym tonie. Spódnice lekko namarszczoną zakończają w dole trzy szerokie zakładki. Podszewka wykończona oddzielnie. Aksamitną kamizelkę u bluzkowego stanika, zapiętą na dwa rzędy metalowych guzików nisko wyciętą wypełnia płócienny półkoszulek ze stojącym kołnierzykiem i męzkim krawatem. Rękawy przy ramieniu bufiaste



Szkic a do ryc. 4.



№ 3. Kostium z aksamitną kamizelką.
(Kroj odw. str. tabl. Fig. 69—75).

№ 4. Wiosenny kostium z fałdowaną, luźną tuniką.
(Patrz szkic a).



№ 5. Ranny kaftanik z otwartymi rękawami, wygodny przy czesaniu. (Krój i wskazówki odw. str. tabl. Fig. 108—111).

oraz napierśnik z koronki na ciemnym podłożeniu. Rękawy namszczone w górze obcisłe od łokcia, zakończone aksamitem i falbanką z taffetas. Pasek zastępuje szeroka wstążka Liberty, związana z boku na kokardę z długimi końcami.

№ 12. Kostium wiosenny z podwójną spódnicą.

Materyał: sukno w modnym kolorze, w dwóch tonach. Originalna w pomysłach spódnicą składa się właściwie z dwóch spódnic, z których wierzchnia marszczona, szeroko ostatebowana w dole i wycięta w zęby, spada swobodnie na spódnicę z podszewki, dopasowaną na biodrach i oszytą wysoką falbaną, pokrytą w całości pliskami sukna w dwóch tonach. Bluzowy stanik z baskiną, zapięty tak samo jak spódnicą, przybierają okrągłe wyłogi wyszyte aksamitem w kolorze ciemniejszego sukna. Wycięcie, stworzone przez wyłogi, wypełnia napierśnik ułożony tak samo jak falbana u spódnicy. Wyszynięty z pod wyłogów pelerynkowy kołnierz, szeroko ostatebowany. Rękawy do łokcia bufaste, poniżej obcisłe. Potrzeba: 8 mtr. sukna jaśniejszego, 1 mtr. ciemniejszego, 1/4 mtr. aksamitu, 4 guziki, pasek z klamrą.



№ 6. Domowa suknia z materyału w paski.

ma sac, zapięty kryto, wykończony tylko stebnowką. Rękawy dowolnie szerokie, przody opatrzone wszyciami kieszonkami. Potrzeba: 4 mtr. materyału podw. szer. 7 1/2 mtr. podszewki.

№ 15. Kostium wiosenny z długimi połami u stanika. (Patrz szkic b).

Kostium z sukna w kolorze beige składa się z powłóczystej spódnicy, wykończonej na jedwabnej podszewce i ze stanika redingote z przyszytymi długimi połami, zastębnowanymi w odstępach w wąskie zakłaski i zastębnowanymi materyą jedwabną. Stanik przybiera kołnierz z haftowanego, czarnego aksamitu, zwyżający się do stanu i tu spięty na patkę, umocowaną dwoma pięknymi guzikami. Przód wypełnia krzyżująca się, ufaldowana kamizelka z atlasu Liberty w tonie rėseda. Kołnierz i napierśnik białe, płócienne. Rękawy umiarkowanie szerokie, zastębnowane w zakładki, zakończone mankietem, przystrojonym odpowiednio do kołnierza. Potrzeba: 9 mtr. sukna podw. szerok., 1 mtr. aksamitu, 4 guziki.

№ 12. Kostium wiosenny z podwójną spódnicą.



№ 7. Bluzka z krzyżowanymi faldami (Krój pier. str. tabl. Fig. 21—30).

Bluzka jedwabna, przybrana koronkowym karczkiem.

№ 13 i 14. Płaszcz wiosenny, odpowiednie też do podróży. (Krój do ryc. 13 odw. str. tabl. Fig. 63—68).

Płaszcz, ryc. 13, z grubego, angielskiego materyału męlangé, zapięty na 2 rzędy rogowych guzików, podbity jest jedwabną podszewką do wysokości kolan (może być i cały na podszewce). Rękawy dowolnej szerokości, lekko ściągnięte patkami, także wykończone na podszewce. Kołnierz i klapy męzkie. Płecy luźne od boków lekko ściągnięte patką. Płaszcz, ryc. 14 — także z angielskiego materyału męlangé, lub z pięknego plega, na podszewce z taffetas, for-

stę świeżą lub kwaszoną, udusić w młodej słoninie, doprawić do smaku jak na jarzynę. Na brytwannie lub w szerokim rondlu ułożyć zrazy jeden przy drugim, nałożyć każdy suto kapustą, pokryć plastrem słoniny, podać sosem, w którym się zrazy dusiły i trochę rosółu, wstawić w gorący piec, a gdy się słonina zrumieni, wyłożyć każdy zraz oddzielnie na półmisek, polać sosem z brytwanny i obłożyć kartofelkami.

Ryż w muszelkach.

Ryżu 1/2 funta ugotować w wodzie z solą i łyżeczką masła. Oddzielnie udusić



№ 13 i 14. Płaszcz wiosenny, odpowiednie też do podróży. (Krój do ryc. 13 odw. str. tabl. Fig. 63—68).

Przepisy kuchenne.

doskonała barania pieczeń,

Pieczeń lub comber barani obrany starannie z żył i tłuszczu, nasmarować oliwą, obłożyć ze wszystkich stron plasterami włoszczyzny, cebuli, liśćmi bobkowymi, osypać pieprzem, zielem i jałowcem. Pieczeń postawić w chłodnym miejscu na 1—2 dni. Na dwie godziny przed pieczeniem baraninę nasolić, poczem obrumienić starannie na sklarowanym maśle, złożyć na brytwannę, nałożyć suto masłem i jarzynkami, w których była marynowana, podać trochę bulionu lub rosółu. Wstawić w gorący piec na pół godziny i polewać dosyć często, żeby się nie wysuszyła. Na podaniu pokrajać w cienkie plastry i na półmisku ułożyć na kości, aby tworzyła całość. Obłożyć jarzynkami, brukselką, buraczkami, smażonymi kartoflami lub krokietami i t. p. Sos przetarty podać sosjerce.

Zrazy z kapustą.

Z połędwicy lub z pieczeni pierwszej krzyżowej, pokrajać cienkie plastry, zbici je, posolić i udusić w maśle. Oddzielnie kapu-



№ 10 i 11. Spódniczki z i flaneli sztryngu z batystowymi falbanami, odpowiednie dla młodych pańienek. (Krój i wskazówki odw. str. tabl. Fig. 94—104).

Obiad na Niedzielę.

Barszcz czysty z pierożkami w drożdżowym cieście. — Karasie smażone z cytryną. — Potrawa z kur, zapiekana z parmezanem. — Szpinak z omletem. — Kuropatwy i perliczki. — Salata, kompoty. — Suflet z moreli z konfiturami.

Barszcz czysty z pierożkami w drożdżowym cieście. — Wątróbka cieleca duszona w śmietanie z kaszką sypką. — Połędwica z garniturem. — Suflet z jabłek.



№ 9. Suknia zreformowana dla młodej pańienki. Zmniejsz: fosna spódnicą pierw. str. Fig. 126—120). (Krój stanika odw. str. Fig.).

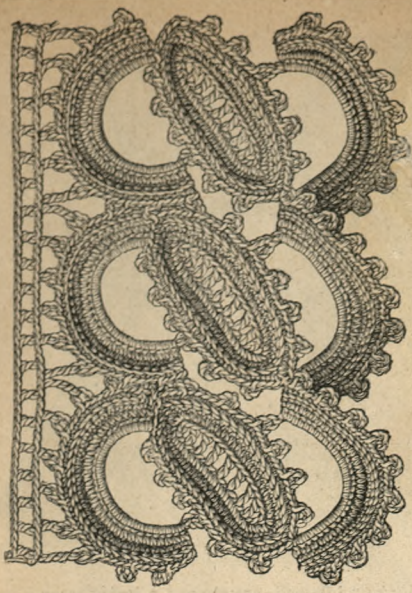
w maśle z cebulą świeże pieczarki, lub grzyby, duszone ugotowane i pokrajane w paski. W grzyby wsypać zielonej pietruszki, wymieszać z ryżem i nałożyć w muszelki, posypując suto tartym serem szwajcarskim lub parmezanem. Polać rozpuszczonym masłem, posypać tartą buleczką i wstawić w piec dla zrumienienia.

Krucho ciasteczka z konfiturami.

Cztery żółtka utrzeć na pianę z 1/2 funtem masła w utarte wsypać 3/4 funta mąki i doskonale wygnieść. Szklanką robić z uwalowanego ciasta cienkie placuszki i na każdym dla ozdoby wycisnąć jakiś deseń, posmarować jajkiem i na blasze wysmarowanej masłem upiec. Upieczone, rumiane, smarować gęstą marmeladą (najlepiej morelową) w ten sposób, żeby dwa ciasteczka sklejać razem. Doskonały przysmak na przyjęcia o 5-ej.



№ 15. Kostium wiosenny z długimi połami u stanika. (Patrz szkic b).



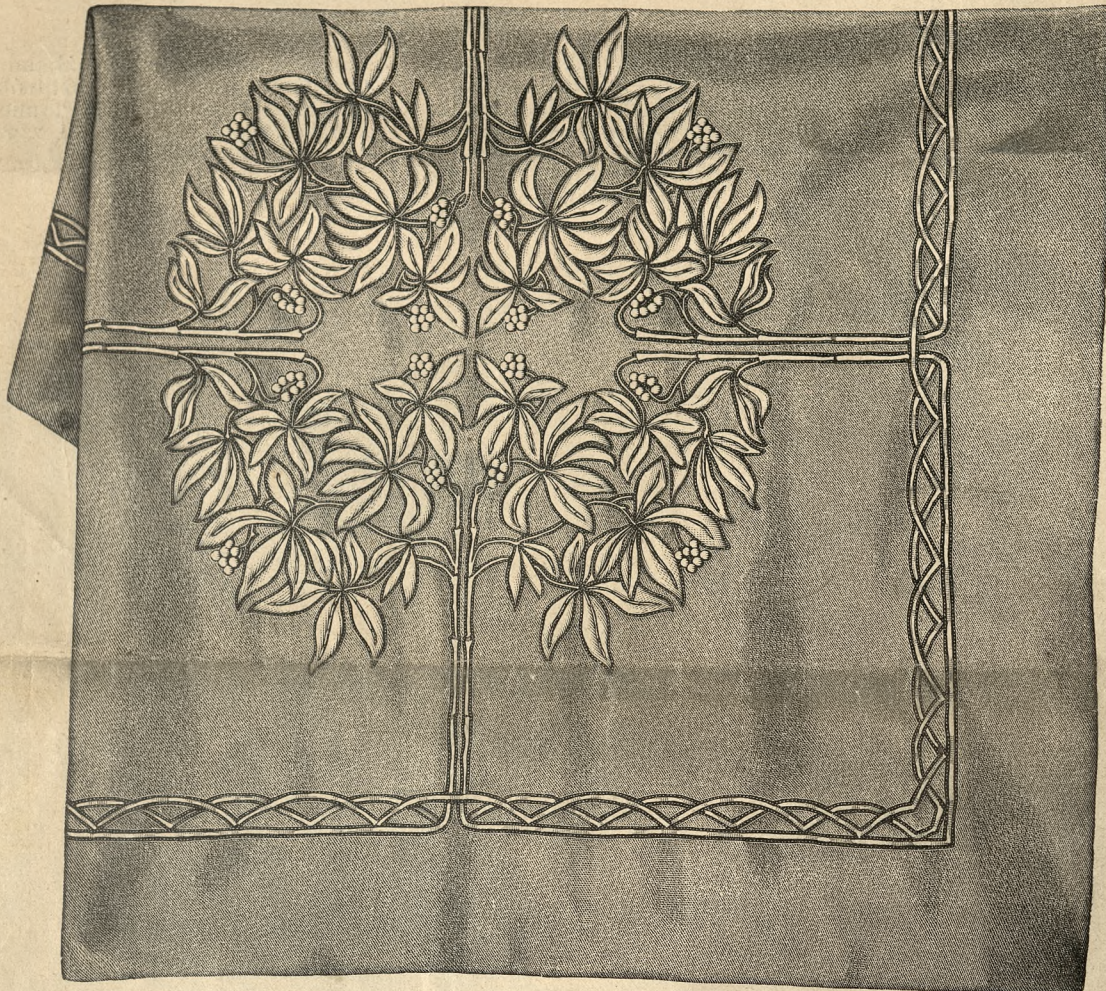
№ 16. Ząbki szydełkową robotą do firanek, serwet i t. p.



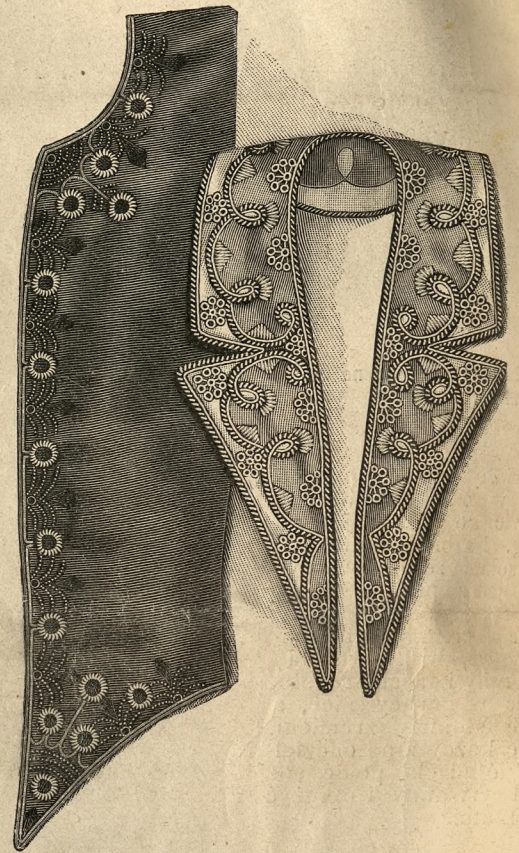
№ 17. Koszuła dla chłopca, służącego do Mszy Św.
(Patrz ryc. 22).



№ 18. Część aplikacji do ryc. 19.
(Nieco zmniejszona).



№ 19. Serweta z sukna albo z angielskiego płótna zdobna łatwym haftem i aplikacją
(Deseń oryginalnej wielkości podług rysunku p. Kamińskiego, zamawiać można w administracji Bluszczu).



№ 20 i 21. Kamizelki do otwartych staników, zdobne haftem i naszyciem z sutaszu i kołnierza z materyi w dwóch kolorach zdobny maszynowym haftem.



№ 22. Część koronki wyszywanej na tiulu do ryc. 17.
(Nieco zmniejszona).